

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV

Warszawa, 22 lutego 1948 r.

Nr 8 (117)

TREŚĆ NUMERU: B. Piasecki — Odpowiedź. Komentarz zagraniczny styczeń 1948 r. Przegląd rosyjski. Wędrowki po scenach polskich. J. B. Ożóg — Orzeł czy kura. W. Bąk — Chłop współczesny w poezii. M. Budzanowska — Refleksje. — Opętany z Gerazy. M. Kononowicz — Tworzące się środowisko. E. Pauksza — Morcinkowe szukanie. S. Kisielewski — Zbrodnia w Dzielnicy Północnej. Czytelnik uważa, że... M. Kołatek — List katechumena.

Nik Rostworowski

S Ł U Ż B A P O Ł S C E

Kilka tygodni temu na łamach stałej rubryki „W Kraju” pisaliśmy o przygotowywanym przez Rząd projekcie ustawy, powołującej do życia powszechną organizację młodzieży pod nazwą „Służba Polsce”. Nie posiadaliśmy wtedy żadnych bliższych danych, dotyczących projektowanej ustawy, a informacje nasze opieraliśmy jedynie na podstawie luźnej wzmianki, zamieszczonej w „Głosie Ludu” — naczelnym organie PPR. Już wówczas jednak wiadomość wydała się nam zbyt frapująca i doniosła, ażeby pominąć ją milczeniem, toteż w następnym numerze „Dziś i Jutro” przyrzekliśmy powrócić do niej w obszernym artykule. W międzyczasie, to jest 27 stycznia Rada Ministrów uchwaliła projekt sygnalizowanej ustawy i został on natychmiast wniesiony pod obrady Sejmu. Przekazany Sejmowej Komisji Prawniczo-Regulaminowej jest obecnie przedmiotem dyskusji i należy się spodziewać, że na najbliższym plenarnym posiedzeniu Sejmu zostanie przedłożony Izbie do ostatecznego zatwierdzenia. Niesposób podawać tu szczegółowego brzmienia projektu ustawy, zajmującego bądź co bądź 20 stron maszynopisu. Trzeba ograniczyć się przede wszystkim do uwypuklenia tych momentów, które świadczą, że mamy do czynienia z czymś zasadniczo nowym, mimo pozorów zbieżności z formami organizowania młodzieży dotąd u nas praktykowanymi. Skoro tylko wejdzie w życie ustawa o „powszechnym obowiązku przysposobienia zawodowego, wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego młodzieży oraz o organizacji spraw kultury fizycznej i sportu” — straca moc obowiązująca dekrety o „służbie pracy młodzieży” (wrzesień 1936), „powszechnym obowiązku wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego” (styczeń 1946). Wreszcie „o urzędach i radach wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego” (styczeń 1946).

i jakkolwiek czerpiącym z wzorów przeszłości, u nas najzupełniej bez precedensu.

PROJEKT USTAWY

Powszechnemu obowiązkowi przysposobienia zawodowego, wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego ma podlegać cała młodzież obojga płci w wieku 16 do 21 lat oraz osoby, które nie odbyły zasadniczej służby wojskowej, a nie przekroczyły 30 lat życia. „Służba Polsce” nie obejmowałaby osób niezdołnych do pracy fizycznej, kobiet zamężnych, jedynych żywicieli rodzin, duchownych posiadających święcenia kapłańskie, oraz osób, które odbywają lub odbyły zasadniczą służbę wojskową. O częściowe lub całkowite zwolnienie mogłyby się starać funkcjonariusze państwowej i samorządowej, nauczyciele szkół prywatnych, członkowie władz, zrzeszeń młodzieży, osoby zatrudnione w zrzeszeniach młodzieży, wreszcie uczniowie szkół zawodowych. Jeżeli chodzi o przysposobienie zawodowe, to projekt przewiduje obowiązek nauki i wykonywania pracy okresowej oraz pracy dorywczej. Praca okresowa dla młodzieży w wieku przedpoborowym nie miałaby przekraczać 6 miesięcy, praca dorywcza zaś 3 dni w ciągu miesiąca. Czas pracy dla młodzieży starszej równałby się okresowi trwania zasadniczej służby wojskowej. Na

czelnie organizacji „Służba Polsce” stałby Komendant Główny, mianowany i zwalniany przez Prezydenta RP. na wniosek Ministra Obrony Narodowej, uchwalany przez Radę Ministrów. Obsada kierownicza i instruktorska rekrutować się ma przede wszystkim z żołnierzy służby czynnej, fachowców delegowanych przez poszczególne ministerstwa oraz instruktorów delegowanych przez Urzędy i Inspektoraty Kultury Fizycznej.

Organem nadrzędnym w stosunku do organizacji „Służba Polsce” ma być Naczelna Rada Młodzieży i Kultury Fizycznej działająca w porozumieniu z poszczególnymi ministerstwami, przede wszystkim z Ministerstwem Obrony Narodowej, Ministerstwem Oświaty i Ministerstwem Zdrowia. Naczelna Rada Młodzieży składać się będzie według projektu ustawy z 25 członków, z których 23 powoływałby Prezydent R. P. spośród kandydatów wysuniętych przez OMTUR ZWM, Wicel, ZMD, KCZZ, Związek Samopomocy Chłopskiej oraz naczelny organ zrzeszeń sportowych. Pozostali dwaj członkowie wchodziłoby z urzędu, a mianowicie: Komendant Główny Służby Polsce i Dyrektor Główny Urzędu Kultury Fizycznej. Na szczeblu wojewódzkim i powiatowym Naczelna Rada Młodzieży posiadałaby swój odpowiednik w wojewódzkich (13

członków) i powiatowych (9 członków) Radach Młodzieży.

Omawiany projekt ustawy przewiduje ponadto powołanie do życia Głównego Urzędu Kultury Fizycznej, współpracującego na wszystkich szczeblach organizacyjnych ze Służbą Polsce i kierującego całokształtem spraw kultury fizycznej i sportu, zgodnie z wytycznymi Naczelnej Rady Młodzieży. W poszczególnych ministerstwach mają być utworzone specjalne wydziały dla współdziałania z powszechną organizacją młodzieży „Służba Polsce”.

INTENCJE USTAWODAWCY

Motywy, jakimi kierował się ustawodawca, zostały dostatecznie jasno sprecyzowane w przepisach wstępnych projektu ustawy. Mówi się tam o konieczności szerszego włączenia młodzieży w ogólnonarodowy proces odbudowy Kraju, w szczególności: w zakresie Planu Trzyletniego. Jednym z najbardziej zasadniczych celów „Służby Polsce” jest przygotowanie kadr pracowników przemysłu, rolnictwa i innych działów gospodarki narodowej. Prócz aspektu gospodarczego ustawa posiada również doniosłe znaczenie polityczno-wychowawcze. Powszechna organizacja młodzieży ma stanowić szkołę wychowania obywatelskiego oraz przygotowanie do obrony niepodległości i ustroju demokratycznego Rzeczypospolitej Pol-

skiej. Skład Naczelnej Rady Młodzieży, sprawującej nadzór nad organizacją „Służba Polsce” świadczy najwymowniej, jak wielką wagę przywiązuje ustawodawca do jednolitego ideologicznie obojętnej tworzony organizacji. Naczelna Rada Młodzieży ma w porozumieniu z Ministrem Oświaty ustalać wytyczne wychowania obywatelskiego oraz czuwać nad kierunkiem ideologicznym i poziomem organizowanych wydawnictw i prasy w zakresie przysposobienia.

Dodatkowych danych, o genezie projektu, dostarczyła specjalnie temu tematowi poświęcona konferencja prasowa. Dowiedzieliśmy się tam, że poważnym bodźcem dla ustawodawcy były rezultaty prac młodzieży republik ludowych Bułgarii i Jugosławii. Trafnie naświetlił to samo zagadnienie przewodniczący zarządu głównego ZWM, Janusz Zarzycki, w artykule zamieszczonym w numerze 6 „Walki Młodych”. Pisze on między innymi:

Czy mogłaby wziąć na siebie całkowicie zadanie wychowania nowego człowieka i włączenie młodzieży w odbudowę, organizacja ideowa młodzieży?

Oczywiście, że mogłaby — jest to przecież jej podstawowym zadaniem. W ten przecież sposób jest to zadanie rozwiązywane w Jugosławii i Bułgarii. Niestety, sytuacja na odcinku młodzieżowym organizacji ideowych w Polsce nie pozwala na tego rodzaju rozwiązanie.

Organizacje ideowe u nas na cztero i pół milionową masę młodzieży, grupują w swoich szeregach około 870 tysięcy młodzieży, a więc zasięg ich jest niewystarczający dla wykonania tego zadania.

Co najważniejsze jednak, to istnienie czterech odrębnych organizacji ideowych młodzieży, rozbiłoby organizacyjne, którego przyczyną zresztą dla coraz większej masy młodzieży stają się coraz bardziej niezrozumiałe powoduje właśnie tę małą liczebność organizacji i jednocześnie przez brak możliwości jednolitego działania — uniemożliwia wypełnienie tego zadania.

Zadanie włączenia całej młodzieży w odbudowę i zadanie objęcia całej młodzieży oddziaływaniem wychowawczym są zadaniami wymagającymi przystąpienia do natychmiastowej realizacji.

Dlatego też powstała potrzeba powołania do życia specjalnej organizacji, która obejmując całą młodzież polską, wzięłaby na siebie wykonanie tych zadań.

Z powyższej wypowiedzi można wysnuć konsekwencje najzupełniej jednoznaczne: powszechna organizacja, jednocząca młodzież, w celach przysposobienia zawodowego i wojskowego ma być pierwszym etapem na drodze ku organizacji wyższego rze-

Wytyczne

„Pragnąłbym, aby każdemu się zdawało, że tylko jeden człowiek mało wart istnieje na świecie, a tym człowiekiem jest właśnie on sam! — wtedy rozpocząłbym starania, by tego jednego poprawić i tym sposobem wszystko na świecie szłoby ku lepszemu”

ŚW. TOMASZ MORE

Dmitry 052

W Świecie...

NOWA BITWA O STARE NIEMCY

TRUDNO być prorokiem, ale wypada stwierdzić, iż sprawa Niemiec staje się coraz bardziej palącym i dramatycznym problemem współczesnej Europy.

Anglosasi montują coraz gorętszą "Bizonię" — odbyły się pierwsze posiedzenia Rady Gospodarczej, przystąpiono do utworzenia nowego ministerstwa propagandy dla Bizonii na czele powierzając to zadanie gen. Guderianowi, znanemu z wojny, oraz p. Gliseviusowi, konserwatyście i antyhitlerowcowi zorientowanemu na współpracę z Anglosasami. 19 lutego trzy państwa — USA, W. Brytania i Francja obradować mają nad tematem niemieckim, jednak już teraz ambasador ZSRR w Londynie złożył Bevinowi notę, zwracającą uwagę na naruszenie umowy Poczdamu, oraz zastrzegł się, iż ZSRR nie uzna uchwał, jakie zapadną na wspomnianej konferencji.

Wobec takiego rozgrywania sprawy niemieckiej — mogącej łatwo stać się wznowieniem niebezpieczeństwa niemieckiego — 17 lutego odbędzie się w Pradze Czeskiej konferencja ministrów spraw zagranicznych Polski, Czechosłowacji i Jugosławii, która nad tym właśnie będzie obradować.

PARYŻ — WARSZAWA

AMBASADOR polski w Paryżu Pułtrament złożył notę protestującą przeciw szykanowaniu i dyskryminacjom stosowanym przez władze francuskie wobec obywateli polskich oraz tych polskich organizacji we Francji, które podporządkowały się rządowi w Warszawie.

OFICyna KSIĘGARSKA

Warszawa, Marszałkowska 34 poleca swoje ostatnie

nowości wydawnicze:

ALEKSANDRA KAMIŃSKIEGO autora

„KAMIENI NA SZANIEC” „NARODZINY DZIELNOŚCI”, 20 opowiadań dla młodzieży z ilustracjami.

STEFANA CZARNECKIEGO, stron 192 cena 450.— zł.

JANUSZA KASPERSKIEGO.

„WIERSZE, PROZA, PRZEKŁADY”.

Tom ilustrowany przez Martę Kraussową. stron 176. cena 450.— zł.

KOMUNIKAT POLSKIEGO CZERWONEGO KRZYŻA

Ani jedno dziecko polskie nie może być zgermanizowane.

Wzywamy wszystkich rodziców, krewnych i opiekunów, których dzieci lub wychowankowie zostały wywiezione do Niemiec, a do przed władzami administracji (ad nie powrócili, aby złożyli ogólnej lub samorządu terytorialnego — zeznania, w których należy podać następujące dane:

- 1) imię i nazwisko dziecka,
- 2) miejsce i data urodzenia,
- 3) imiona rodziców,
- 4) opis (względnie fotografia) dziecka i znaki szczególne,
- 5) skąd i kiedy zostało zabrane oraz w jakich okolicznościach,
- 6) ostatnie wiadomości o dziecku

Uwierzycielnione pieczęciami władz oświadczenia winny być niezwłocznie składane w lokalnych placówkach P.C.K.

Zarząd Główny Polskiego Czerwonego Krzyża

PAMIĘTAJ O OJBUDOWIE OPACTWA TYNIECKIEGO

Można wpłacać na konto P.K.O. — Kraków — IV—477 (Opactwo O.O. Benedyktynów) — także w Administracji „Tygodnika Powszechnego”.

du, stanowiącej coś w rodzaju ideologicznego monolitu.

NASZE STANOWISKO

Nie sądzę, ażeby projekt włączenia młodzieży polskiej w ogólnonarodowy proces odbudowy mógł znaleźć oponentów, działających z szczerze patriotycznych pobudek. Dziś w twardej i burzliwym okresie prób lepiej, niż kiedykolwiek rozumiemy, że wzmożenie potencjału gospodarczego, to jedno z naszych najbardziej zadających zadań.

O ile jednak sama zasada zdaje się nie podlegać dyskusji, o tyle jej wykonanie musi budzić szereg wątpliwości i zastrzeżeń. Chciałbym jednak na wstępie zastrzec się przed ewentualnym zarzutem „uprawiania jałowej negacji”, gdyż wszystko, co tu napiszę, będzie miało tylko i wyłącznie charakter krytyki postulatywnej. Nie gowanie w czambuł nie jest metodą działania, charakterystyczną dla naszego zespołu.

Uwagi, jakie muszą się nasuwać czytelnikowi projektu ustawy, można by podzielić na dwie kategorie. Pierwsza obejmowała by wszelkie zastrzeżenia, dotyczące ważkich konsekwencji natury ideowo-wychowawczej, jakie pociągnie wprowadzenie ustawy w życie. Druga byłaby próbą naświetlenia tej samej problematyki, od strony technicznej. Oczywiście podział taki jest sztuczny i może mieć znaczenie wyłącznie dyktatorskie, bo oba aspekty są zespolone ze sobą tak ściśle, że mowy być nie może o jakimś naturalnym ich wyodrębnieniu. Nie stety znowu przyjdzie się ograniczyć do pobieżnej analizy i z braku miejsca trzeba wypunktować tylko momenty najistotniejsze. W sprawach „technicznych” nie obowiązuję, jak dotąd, podział na spirytualistów i marksistów. Po nieważ komunikatywność jest tu najłatwiejszą do osiągnięcia, zaczynam od końca; jakkolwiek ciężar gatunkowy zagadnienia dla nas katolików leży przede wszystkim w płaszczyźnie konsekwencji ideowych.

UPOŚLEDZENIE STUDENTÓW

Jeżeli hasła w rodzaju „po trzeba kadr!” lub „Włączenie w rytm” mają być czymś więcej, niż sloganami, należałoby, mówiąc o przysposobieniu zawodowym, bardziej wnikliwie potraktować sprawę młodzieży akademickiej. Artykuł 34 ustawy w punkcie 1 głosi, że „od wykonania powszechnego obowiązku przysposobienia zawodowego mają być zwolnieni w całości lub części uczniowie szkół zawodowych”. Tu wylania się problem. Czy słuchacze medycyny, farmacji, politechniki, pedagogium są uczniami szkół zawodowych? — Formalnie rzecz biorąc — nie. Są tylko studentami wyższych uczelni. Dlatego skoszaroni na Żuławach z wiosną br. będą się zajmowali osuszaniem pozostających pod wodą terenów.

Mój przyjaciel z II roku politechniki, zamłast dwunastotygodniowej praktyki — w Zakładach Cegielskiego, bez której nie osiągnie pół dyplomu, spędzi wakacje, odgruzowując Koszalin. Czy pływ nie stał wniosek, że tereny na Żuławach muszą pozostać pod wodą, a Koszalin nie być odgruzowany? Nie zamierzam kroczyć śladami Dołęwskiego i sabaż gospodarczy nie leży w zakresie moich wielorakich uzdolnień. Mimo to nie czuję się pocieszony artykułem 51 ustawy, głoszącym: „osoby, powołane do wykonywania powszechnego obo-

wiązku przysposobienia zawodowego kształcą się w takich zawodach i powierza się im wykonanie takiej pracy, do jakiej osoby te są fizycznie zdolne, a nadto — w miarę możliwości — jaka odpowiada ich kwalifikacjom i zamiłowaniu.” H-m... Cieżki Franek z IV roku medycyny jest na pewno fizycznie zdolny do prac przeladunkowych w Gdyni, więc jedynym jego ratunek tkwi w tym magicznym „w miarę możliwości”. Ale jaka tu możliwość, kiedy się operuje 4,5 miliona ludzi?

No dobrze, więc jeżeli się zgodzimy, że Polsce potrzeba 18 tys. pedagogów, potrzeba lekarzy, inżynierów, architektów, farmaceutów i jeżeli ustawodawca przy mnie, że ich studia same przez się są przysposobieniem zawodowym, to jak zostaną potraktowani studenci, dajmy na to astronomii lub archeologii? — Bo nie wstawiamy w siebie, że 6 miesięcy pracy fizycznej, choćby w czasie wakacji, które dla większości studentów stanowią jedyną okazję indywidualnej pracy naukowej a często i zdobycie środków materialnych na dalszą naukę nie odbije się ujemnie na całokształcie studiów. Dlatego do art. 34 ustawy należałoby wprowadzić pewną nieznacznie wstawkę, zaopatrzoną w literę ł: student.

UPRZYWILEJOWANIE STARSZYCH

Obowiązkowi przysposobienia zawodowego podlegają również osoby, które jeszcze nie odbyły służby wojskowej, a przekroczyły wiek 21 lat. Przysługuje im prawo zwolnienia od wojska, jeżeli czas wykonywania obowiązku przysposobienia zawodowego był równy najniższemu okresowi trwania zasadniczej służby wojskowej. Prawo to nie przysługuje natomiast osobom poniżej lat 21, dla których wykonanie obowiązków przysposobienia wojskowego może najwyżej służyć za podstawę do ubiegania się o skrócenie czasu służby wojskowej. Intencje ustawodawcy, faworyzującego „markierantów”, nie wydają się w tym wypadku dostatecznie przejrzyste.

ROLA HARCERSTWA

Skupienie paromilionowej masy młodzieży w ramach jednej organizacji jest eksperymentem u nas bez precedensu i musi następcy wiele trudności wrecz nie do przebrnięcia, zważywszy na zupełny brak odpowiednio przygotowanych kadr instruktorskich. Odwołanie się do pomocy żołnierzy służby czynnej, jakkolwiek jest pomysłem najzupełniej celowym, nie rozwiązuje całości dylematu. Ewentualne poprawki — w ustawie powinny zmierzać ku wciągnięciu do prac organizacyjnych w „Służbie Polsce” przede wszystkim kwalifikowanych fachowców ZHP, posiadających bogaty zasób doświadczenia w działalności tego typu. Obecność harcerzy w szeregach instruktorskich wpłynęłaby na pewno dodatnio na krystalizowanie się ponad politycznego i ogólnonarodowego charakteru powszechnej organizacji młodzieży. Wydawałoby się, iż wobec faktu, że harcerstwo obejmuje tylko młodzież do lat 16, nonsensem jest mówienie o powiązaniu jego działalności z akcją „Służby Polsce”. Nie zapomniamy jednak, że stopień instruktorski w ZHP można dopiero uzyskać po ukończeniu lat 18. Dla „nieuczelnianych” skautów ten przejściowy okres dwóch lat stanowi dalsze przygotowanie się do okaz-

działalności organizacyjno-wychowawczej w tzw. „ośrodkach pracy”. Harcerstwo polskie przeżywa również swoją głęboką ewolucję, polegającą głównie na realizowaniu jako naczelnej — zasady wychowania przez pracę. Na tegorocznych obozach i koloniach np. przewidziano oparcie pracy drużyn o placówki służby i potrzeby środowiska w rozmiarach trzech godzin dziennie. Jeżeli kierownictwo „Służby Polsce” nie chce przejść nad tymi faktami do porządku dziennego „społeczno-organizacyjny wkład ZHP w akcję powszechnej organizacji młodzieży posiada szanse stania się zbawiennym w skutkach. Na leżałoby jednak równocześnie pomyśleć o zapobieżeniu mechaniczemu wcielaniu do organizacji przyszłych instruktorów, którzy choć przekroczyli wiek lat 16, bardziej przysługują „Służbie Polsce”, niż gdyby mieli już teraz budować szosy.

KOBIETY W ORGANIZACJI

Skoro mowa o doświadczeniach ZHP trudno nie wspomnieć o nader właściwym i ze wszelkich nader naśladowania godnym rozwiązaniu przezeń roli kobiet w organizacji. Cała działalność harcerki jest nastawiona obecnie w kierunku Służby Dziecku. Jeżeli już decydujemy się na pobór dziewcząt, bo emancypacja, bo ostatnia wojna, bo gospodarka planowa... — niech będą przyspasiabiane do tego zawodu, który bez nich stanie odłogiem: zawodu żon i matek. Udział kobiet w ostatniej wojnie, to objaw upadku naszej cywilizacji, a bynajmniej powód do dumy i precdens na przyszłość.

DALEKA DROGA...

Skład osobowy Naczelnej Rady Młodzieży, rad wojewódzkich i powiatowych nastrecza największą wątpliwość. Zastosowanie klucza partyjnego, udział przedstawicieli KCZZ i Samopomocy Chłopskiej — to pociągnięcie z punktu widzenia ustawodawcy najzupełniej słuszne i celowe. Jednak poważne zadania wychowawcze, jakie stoją przed Radami wprost krzyczą o dopuszczenie przedstawicieli sfer oświatowych do współdziałania w ustalaniu wytycznych dla działalności powszechnej organizacji młodzieży. Projekt ustawy w art. 5 punkt d. mówi wprawdzie o współdziałaniu z Ministerstwem Oświaty na szczeblu ogólnym, lecz kontakt tego rodzaju z natury rzeczy musi być bardzo luźny, tak że w praktyce do Komendy Powiatowej „Służby Polsce” w Mielcu zlecenia ministra oświaty mogą nigdy nie dotrzeć. Schemat połączeń układałby się tu, jak następuje: Ministerstwo Oświaty — Naczelna Rada Młodzieży — Wojewódzka Rada Młodzieży — Powiatowa Rada Młodzieży — Komenda Powiatowa „Służby Polsce” w Mielcu. Gdybyśmy nawet przyjęli, że wiceminister Jabłoński uzyska połączenie z Komendantem „Służby Polsce” na powiat mielecki, to fakt ten nie gwarantuje jeszcze identycznej sprawności w nawiązywaniu kontaktu w kierunku odwrotnym. Zapewnienie możliwości koordynacji działania na wszystkich szczeblach wydaje się być w tym świetle nieodzowne. Jeżeli w Naczelnej Radzie Młodzieży znajdują się przedstawiciele Rad Głównych Szkół Wyższych, w Radach Wojewódzkich — reprezentanci Kuratoriów, a w Radach Powiatowych — delegaci inspektoratów szkolnych, wówczas dopiero intencje ustawodawcy zyskają

szanse przybrania realnego kształtu.

SPRAWA ZASADNICZA

W Naczelnej Radzie Młodzieży ustalającej wytyczne działania dla Organizacji „Służba Polsce” katolicyzm nie jest reprezentowany. Zdajemy sobie wszyscy dobrze sprawę, że ten stan rzeczy stanowi w głównej mierze funkcję nieregulowanego dotąd stosunku między Kościołem a Państwem. Ustawodawca nie bez słuszności mógłby twierdzić, że nie ma w Polsce organizacji młodzieży katolickiej zdolnej reprezentować ogół wierzącego społeczeństwa. Myślę rzecz prosta o organizacji innego typu aniżeli Kościół, który stanowi społeczność ponad narodową o celach wiecznych, w żadnym razie nie predystynowaną do angażowania swego wysokiego autorytetu w doraźnej problematyce politycznej. Powyższe stwierdzenia nie umniejszają jednak w niczym powagi faktu, że rola oddziaływania czynnika katolickiego na paromilionową masę organizowanej młodzieży, której przytłaczająca większość stanowią katolicy może być całkowicie eliminowana.

W każdym państwie istnieje taka sfera interesów nadrzędnych, których respektowanie obowiązuje wszystkich rządzących bez względu na tę czy inną orientację ideowo-polityczną. Ów kompleks racji ogólnonarodowych, nazwijmy go wprost racją stanu nie może być nigdy naruszony w swej zasadniczej równowadze

Te przyczyny powodują na przykład utrzymanie w armii instytucji kapelanów wojskowych. W imię tych samych założeń apelujemy dziś o:

1. zagwarantowanie szerokim rzeszom społeczeństw katolickiego odpowiedniego wpływu na całość kształtu prac wychowawczych w Powszechnej Organizacji Młodzieży „Służba Polsce” przez powołanie do Rad Młodzieży na wszystkich szczeblach, — osób bezpartyjnych, wyznających światopogląd katolicki, obdarzonych całkowitym zaufaniem i poparciem polskich mas katolickich.

2. powołanie kapelanów do sprawowania opieki religijnej na terenie organizacji „Służba Polsce” nad tą młodzieżą, która wyraził chęć korzystania z opieki kapłańskiej.

Niesposób sugerować, że treść powyższych postulatów pokrywa się z linią ideologiczną, stanowiącą podstawę orientacji Obozu Rządowego. Natomiast mamy prawo przypuszczać, iż mimo to postulaty owe posiadają poważną szansę uwzględnienia jako mieszczące się bez reszty w sferze interesów nadrzędnych i ogólnonarodowych.

Nik. Rostworowski

REKOLEKCJE

Dorocznym zwyczajem odbędą się rekolekcje dla kobiet w kościele SS. Wizytek, w czasie od 5 marca (tj. od piątku) do 10 marca b. r.

Początek konferencji codziennie od godziny 6 po poł. w czwartek, 11 marca odbędzie się spowiedź, a w piątek 12 marca msza św. i wspólna komunia św.

Rekolekcje udzieli znakomity mówca zakonu kaznodziejskiego, Ojciec Anzelm Jezierski, Dominikanin.

Należy oczekiwać, że osoba wybitnego prelegenta spowoduje liczny napływ rekolektantek, prośmy więc o wcześniejsze zaopatrzenie się w karty wstępu na cały czas trwania rekolekcji, które otrzymać można w zakrystii SS. Wizytek, Krakowskie Przedmieście 34.

Bolesław Piasecki

ODPOWIEDŹ ^{IV}

Istnieją dwa rodzaje szczęścia: szczęście zapracowane i szczęście darowane.

Człowiek pragnie szczęścia wynikającego z urzeczywistnienia swoich celów występujących w postaci przedsięwzięć czy planów. Osiągając pracą zamierzone cele, ludzie tworzą i przez to doznają szczęścia. Ścisłej określając trzeba stwierdzić, że nie tylko owoce pracy dają szczęście. Samo dążenie do stworzenia własnym wysiłkiem zamierzonych rezultatów, mimo codziennych na tej drodze klęsk i porażek, jest już przeżyciem szczęścia. Istotnym jednak dla człowieka osiagającego w ten sposób swoje szczęście jest poczucie, że jest to szczęście zapracowane. Okoliczność ta nadaje temu rodzajowi szczęścia dwa akcenty: Jednym z nich jest motyw poniesionego trudu, czynnik przewyciężenia pracą oporu. Drugim poczuciem charakterystycznym dla szczęścia zapracowanego jest przeżycie jego niezależności od wszystkich czynników poza naszą wolą.

Człowiek jednak jest obdarzony także pragnieniem drugiego rodzaju szczęścia — szczęścia darowanego. Praca i wysiłek towarzyszą szczęściu darowanemu — walczy się o jego rozwój, o jego utrwalenie. Tym niemniej szczęście darowane nie wynika ani z walki ani z pracy. Między wysiłkiem człowieka a szczęściem darowanym mu nie ma związku przyczynowego. Dlatego wierzący upatrują w nim rękę Opatrzności, a niewierzący działanie przypadku. Człowiek sposobem przeżywania szczęścia darowanego może przesądzić o dalszym jego rozwoju. Na sam fakt powstania szczęścia darowanego ludzie jednak wpływu nie mają.

Psychika ludzka jest wyposażona w naturalną zdolność przeżywania dwóch rodzajów szczęścia. Ważnym jest zauważyć, że jeden rodzaj szczęścia nie jest w stanie zastąpić drugiego. Do szczęścia bowiem zapracowanego należy dążyć, na szczęście darowane można tylko czekać lub o nie prosić.

Co człowiek uznaje za szczęście? Zagadnienie to wiąże się nierozdzielnie z problemem wartości. Każde bowiem przeżycie szczęścia jest mierzone przez człowieka posiadanymi przez niego próbnymi wartościami np. prawdy, dobra, piękna. Wypada tu uczynić jednak rozróżnienie. W dziedzinie szczęścia zapracowanego decydującym jest próbnik dobra. Szczęście zapracowane osiąga się przez służenie celowi. Cierpienie wynika tu przede wszystkim z tego, że mimo wysiłków cel się oddala lub nawet znika. Przeżycie nieszczęścia jest wtedy spowodowane sytuacją w której bądź służba jest nieskuteczna bądź też nie ma czemu służyć.

Próbnik prawdy, przeżycie pewności w dziedzinie szczęścia jest czynnikiem zasadniczym o tyle tylko, o ile rodzi cele, którym można służyć. Prawda choćby najsilniej przeżyta, która nie określa jednocześnie dobra zdolnego zatrudnić człowieka służbą, stanowi dla jego szczęścia zjawisko najzupełniej jełowe.

Wartościowanie próbnikiem piękna w dziedzinie szczęścia zapracowanego występuje jako czynnik istotny ale posiłkowy. Piękno w dziedzinie szczęścia zapracowanego, występuje w charakterze wyzwalającej się perspektywy między codziennym wysiłkiem, a ostatecznym celem działania i służby. Piękno jest to konstrukcja, architektura dni codziennych tworząca

z całości życia harmonię służby jednemu celowi.

Kryterium piękna, poczucie wyzolenia od niepewności i bezcelowości jest natomiast zasadnicze dla możliwości przeżycia szczęścia darowanego. Szczęście darowane jest przede wszystkim mierzone kryterium piękna, poczuciem wyzolenia rodzającego uniesienie. Przeżycie szczęścia darowanego posiada jako czynnik wspólny z przeżyciem piękna, zjawisko porażenia ostatecznością, wobec której znika wszelka niepewność i nie ma poczucia braku celu. Człowiek przeżywający piękno oraz człowiek doznający szczęścia darowanego nie ma wątpliwości, że ma przed czym, czy przed kim upaść na kolana.

Dążenie do szczęścia jest czymś naturalnym dla człowieka. Jest to zrozumiałe, gdyż szczęście jest rezultatem właściwie przez dane go człowieka (zgodnie ze stosowanymi przez niego próbnymi wartościami) dokonanego wyboru możliwości. W samym zaś procesie życia tkwi konieczność wybierania.

Jasnym też się staje, dlaczego właśnie to naturalne dążenie człowieka do szczęścia powoduje tak często jego wewnętrzne rozdarcie i szamotanie się. Występuje tu szereg przyczyn. Przede wszystkim u ludzi istnieje chaos próbników wartości. Wiele jednostek posiada dla jednego zjawiska szereg niepowiązanych z sobą kryteriów dobra, prawdy czy piękna. Ponieważ zaś szczęście wynika z oceny dokonanego wyboru, przeto w powyższym wypadku ta sama rzecz rodzi przeżycie szczęścia i nieszczęścia jednocześnie. Nie można się spieszyć z dążeniem do zaspokojenia po-

trzeby szczęścia bez wystarczającego, dla własnej psychiki, ustalenia próbników wartości.

Szereg ludzi następnie nie różni zapracowanego i darowanego charakteru szczęścia. W związku z tym często występuje omyłka polegająca na oczekiwaniu na szczęście zapracowane i na usiłowaniu wypracowania szczęścia, które może być tylko darowane. Człowiek, który od przeżycia szczęścia darowanego uzależnia wysiłek dążenia do szczęścia zapracowanego ryzykuje prawdopodobieństwo niemożności osiągnięcia jakiegokolwiek harmonii w życiu.

Szczęście, następnie, z samej swej istoty łączy się z wyrzeczeniem. Fakt ten wynika bezpośrednio z dramatycznego charakteru życia. Wybieranie, które stanowi zasadniczy objaw samego procesu życiowego jest stałym pograżaniem w nicotę możliwości, które mogły się stać. W istocie wybierania tkwi odpowiedzialność fiat i peract, odrzucenie jednej możliwości stanowi przeważnie i jedynie skutecznie sposób osiągnięcia bardziej pożądanej. Stąd szczęście będące przeżyciem oceny wyboru jest oparte jednocześnie na posiadaniu (możliwości osiągniętej) i wyrzeczeniu się (możliwości odrzuconej).

Chwiejność jednak próbników powoduje u wielu ludzi przeżycie stałego i dotkliwego wahania się wobec konieczności wyboru. Trud przezwyciężania się człowieka w dążeniu do bezwzględności próbników jest tak dotkliwie przezeń odczuwany, że powoduje stałą obecność tęsknoty za szczęściem darowanym. Na tym też tle powstało wyobrażenie szczęścia jako dowolności. Wysiłek wypracowywania

próbników wartości, trud stosowania tych próbników do oceny dokonanego wyboru powoduje w człowieku bunt. Człowiek nie chce wtedy szczęścia związanego próbnikami wartości, upatruje możliwość przeżycia szczęścia w robieniu tego „co, mu się podoba”. Ponieważ jednak, nawet po zajęciu tej postawy muszą ludzie dokonywać wyboru, a wybór jest zawsze połączony z odniesieniem do jakiegoś wartościowania, przeto szczęście osiągnięte przez dowolność staje się znów szczęściem związanym próbnikami. Nie ma zatem szczęścia oderwanego od jakichś kryteriów wartości.

Życie jest procesem dawania i brania. Wartość jest właściwą proporcją między daniem a braniem. Szczęście jest wynikiem oceny próbnikami wartości dokonanego wyboru między danem i wzięciem. Stąd szczęście występuje i w przeżyciu posiadania i w przeżyciu oddania. Zjawiska te są bowiem połączone wewnętrznie. Posiadamy, aby oddać. Oddajemy, aby posiadać. Szczęście zatem powoduje konieczność dążenia. Osiągnięcie celu bez względu na to, czy było nim oddanie czy wzięcie czegoś, powoduje konieczność wyruszenia w dalszą drogę do następnego celu. Każde osiągnięte szczęście powoduje konieczność ubezwiecznienia go przez to, które jest dopiero pożądane i zamierzone. Szczęście zatem człowieka z istoty swej wiąże się z procesem stałego przewyciężania oporu i trudności. Stąd szczęście ludzkie, będąc stale uzależnione od cech następnego wyboru, którego dokonać mamy, musi być stale odniesione do Kogoś czy czegoś stanowiącego ostateczny cel życia.

Szczęście zapracowane jest osiągnięte stałym trudem, a szczęście darowane wymaga także dla swego utrwalenia ciągłego wysiłku. Słabość Człowieka w zestawieniu z bogactwem możliwości wyboru, które rodzi rzeczywistość, wymaga nieustannego przewyciężania się. Z drugiej jednak strony potrzeba szczęścia dla człowieka jest nieodparta. Stąd wynika zjawisko ucieczki w krainę marzeń. Świat marzeń danego człowieka stanowi taką iluzyjną rzeczywistość, w której ocena wyboru dokonanego przez tego człowieka jest zawsze zgodna z jego najbardziej aprobowanymi próbnikami wartości. W świecie iluzji człowiek jest szczęśliwy, gdyż albo dokonuje trafnego wyboru, albo też wybór ten narzuca mu się samą oczywistością swego dobra. Przeżycie szczęścia w świecie iluzji bywa, albo osłabieniem albo wzmocnieniem zdolności osiagania szczęścia rzeczywistego. O ile w marzeniach człowiek stosuje inne próbniki wyboru niż w rzeczywistości, wtedy następuje wewnętrzne rozbrojenie, rozładowanie w „podwójnym” życiu. Wytwarza się stan, w którym sprzeczność jest mniej kosztowna i przez to, tym szkodliwsza. O ile natomiast te same próbniki oceny wartości są stosowane w dążeniu do szczęścia w świecie iluzji, co i w rzeczywistości, wtedy dokonane w marzeniach akty wyboru i oceny możliwości zwiększają siłę do przewyciężania rzeczywistości. Szczęście osiągnięte w marzeniach występuje wtedy w charakterze wzoru domagającego się odtworzenia w świecie realnym.

Należy jednak rozpatrzyć samo zagadnienie rzeczywistości oraz iluzji.

Komentarz zagraniczny styczeń 1948

Wydarzenia polityczne w najmniejszym stopniu nie chcą trzymać się kalendarzowych schematów. Nie respektują wygody komentatorów dziennikarskich, czy nawet historycznych, którym znacznie efektywniej służyłaby na przykład abdykacja Michała Rumuńskiego ogłoszona w pierwszym dniu 1948 roku, aniżeli w przedostatnim 1947 r., kiedy to już wszyscy dawno napisali sumaryczne zestawienia wypadków politycznych za rok ubiegły. Trudno oddzielać od siebie epoki granicami wieków; trudno ograniczać tendencje polityczne pewnych okresów końcem i początkiem lat; tak samo trudno jest wyodrębnić ściśle dzień pierwszy i ostatni miesiąca, jako wyraźny początek i koniec ciągu politycznego. Niemniej zarówno wieki, jak lata — tak i miesiące — kuszą do pewnych reasumpcji, ustaleń, rachunków. Człowiek — istota dążąca ku systematyczności — radby mieć zawsze wyraźny obraz chwili przeżytej, czy przeżywanej. I jak malarz wprowadza na swe płótno dominujący akcent koloru lub formy, który sugeruje zasadniczy wyraz obrazu, — tak i publicysta ma wielką ochotę, by z każdego minionego okresu spośród tylu tysięcy spraw błahych, sensacji jednego popołudnia móc wyłowić jego zasadniczą polityczną dominantę; wysłedzić rytm najbardziej istotny. Oczywiście nie zaczął się on w dniu pierwszym miesiąca, jak nie skończył w dniu ostatnim. Na przestrzeni jednak tych dni trzydziestu był najważniejszy.

Styczeń bieżącego roku był bodajże pierwszym miesiącem po wojnie kiedy na „tapetę” polityki światowej

wywiązała wyraźna tendencja podziału Europy na dwie części.

Podkreślam jeszcze raz zwrot „polityki światowej”, gdyż siły działające obecnie w Europie są siłami światowymi, tak polityczne jak idee logiczne; zakres ich działalności jest uniwersalny. I jeżeli mówimy i mówić zawsze będziemy przede wszystkim o sprawach Europy, to dlatego, że po pierwsze — sprawy Europy — to są sprawy najbliższe, najbardziej bezpośrednio odbijają się na codziennym dniu obywatela Polski; po drugie dlatego, że rozwój „gry o Europę” jest znakomitą soczewką ujawniającą próby i kierunki rozgrywek nawet poza — europejskich. W Europie możemy odnaleźć wytłumaczenie wypadków w Chinach, i tych w Południowej Ameryce, i tych w Palestynie; może tylko sprawy Indii i Indonezji są bardziej samodzielnie azjatyckie.

Podział Europy dokonywany się najprzeróżniejszymi metodami i z różnymi celami. Gdy min. Bevin proponuje organizację Stanów Zjednoczonych Europy Zachodniej jest to coś odmiennego, niż gdy pomiędzy państwami Europy Środkowo-Wschodniej zostaje zrealizowana siatka sojuszy politycznych, gospodarczych i kulturalnych.

Konsolidacja Europy Środkowej ma odmienny przebieg od tej dokonywanej na zachodzie. Charakterystyczną była dyskusja między premierem bułgarskim Dymitrowem. Dymitrow oświadczył przy jakiejś okazji, że nasza część Europy winna — widocznie analogicznie do Zachodu — ukonstytuować się w jakąś federację, lub konfederację i zawrzeć unię celną. „Prawda” oficjalny

organ wszechrosyjskiej partii komunistycznej — zaprotestowała przeciw temu gorąco, kategorycznie stwierdzając, że krajom tej części Europy nie jest potrzebne ani unia, ani federacja; raczej przeciwnie, wzmocnienie i obrona własnej niezawisłości. To też proces konsolidacji politycznej państw położonych na wschód od linii Triest — Berlin wygląda jak siatka bilateralnych sojuszy, a nie jednolita, unifikująca międzypaństwowa konstytucja.

Odmiennie projekty wysunięte zostały na Zachodzie Europy. Sytuacja wygląda tam mocno pogmatwanie i jest — zdaje się — wyrazem pewnej konkurencji między dwoma potęgami anglosaskimi. Otóż i Anglia i Ameryka (USA), chciałyby widzieć Europę Zachodnią w postaci jednego organizmu politycznego — gdyż wtedy realizowanie jakiegokolwiek polityki byłoby o wiele łatwiejsze. Bevin nawoływał w swym parlamencie Europę do konsolidowania się celem przeciwdziałania ofensywie komunistycznej. Do tego samego nawołują Stany Zjednoczone. Mimo to jednak między Stanami Zjednoczonymi, a Wielką Brytanią wynikła arcyciekawa kontrowersja na temat waluty francuskiej. Stany Zjednoczone zażądały dewaluacji franka. Anglia się sprzeciwiała i sprzeciwił swój motywowała m. in. złym wrażeniem jaki wywrze na kandydatach do popieranej przez USA, unii zachodnio-europejskiej, tak jaskrawa ingerencja w walutę któregoś z państw, ingerencja nie podejmowana przez ew. przyszłościowy rząd federacji, lecz przez mocarstwo spoza niej. Francja jednak uległa presji USA, mimo protestu Wielkiej

Brytanii, mimo protestu Międzynarodowego Funduszu Monetarnego nie chcącemu udzielić swej zgody na tę operację. Przebieg rozgrywek o franka wskazuje na bardzo ciekawą sprawę. USA chcą widzieć Europę posłuszną swej polityce. Łatwiej rządzą jednemu państwu, niż sześcioma, czy dziesięcioma. Należy więc dążyć do ich zjednoczenia. Natomiast Wielka Brytania w utworzeniu takiej unii chce przede wszystkim widzieć ową „trzecią siłę”, która by potrafiła skutecznie lawirować między ZSRR a USA. Pisma londyńskie rachują, że w razie połączenia się Wielkiej Brytanii, Francji, Włoch, Be-ne-lux, może Hiszpanii i Portugalii — siła ludnościowa tego zespołu dorównywałaby USA i ZSRR oddzielnie. Oczywiście podobnie mechaniczne obliczenia nie odzwierciedlają prawd istotnych (z jednej strony zlepek — z drugiej organizmy jednolite). Gdy dwóch mówi tak samo — nie jest jednak to samo. Nie należy przeceniać różnic anglosaskich, szczególnie jednolitych wobec Rosji ale nie należy lekceważyć odmiennych podejść ich, rozmaitych punktów wyjścia, a więc i może różnych w przyszłości skutków.

Niemniej — dla tych czy dla innych powodów, takich czy innych inspiracji — fakt pozostaje faktem: pojawiły się silne znaki na niebie i ziemi wskazujące na konsolidację polityczną Europy Zachodniej. Człowiek z tych słów wie już, iż wraz z odmową państw Skandynawskich, wahaniami Be-ne-luxu, rzecz nie idzie łatwo, ale o tym porozmawiamy za miesiąc. W styczniu 1948 roku — znaki się ulazły.

Dokończenie na str. 10-11

W kraju...

PROCES KOMENDY GŁÓWNEJ NSZ.

PRZED Rejonowym Sądem Wojskowym w Warszawie rozpoczął się w dniu 11 lutego proces członków organizacji OP (Organizacja Polska) i NSZ (Narodowe Siły Zbrojne). Na ławie oskarżonych zasiadli Stanisław Kasznica (Komendant Główny NSZ), Mieczysław Baszkiewicz (szef szóstego oddziału NSZ), Lech Neyman (b. komendant okręgu krakowskiego N. S.Z.) oraz łącznicy Żelazowska - Sokolowska, Jastrzębski i Salska. Oskarżeni stoją pod zarzutem paraliżowania akcji sabotażowej AL w czasie okupacji, likwidowania działaczy lewicowych w tymże okresie, współdziałania z Niemcami, oraz uprawiania działalności terrorystycznej i szpiegowskiej już po wypędzeniu Niemców. Jako pierwszy zeznawał oskarżony Kasznica, cytując m. in. słowa szefa wywiadu NSZ Wawrzko-wicza, który mu oświadczył, że ma kontakty z Niemcami tak samo, jak ma je wywiad AK i Delegatury. Oskarżony wie również od szefa departamentu spraw wewnętrznych delegatury, że wybitni członkowie BIP-u prof. Handelsman i literatka Wanda Kraheńska zostali wydani w ręce Gestapo. W kraju były m. in. przygotowywane zamachy na min. Dąb-Kociola, generała Rummla i redaktora Strumpf - Wojtkiewicza. Min. Dąb - Kociol np. tylko dzięki temu uniknął śmierci, że zdołał wy-legitymować się fałszywym dokumentem. Stanisław Kasznica stwierdził, iż jego obóz znajdował się niewątpliwie pod urokiem faszyzmu i gdyby udało mu się dojść do władzy starałby się ugruntować w Polsce ten sam ustrój. „Głos Ludu” komentując zeznania oskarżonego pisze: „Kasznica mówi obszernie o sprawach, co do których sąd ma niezbité dowody. Co do innych spraw zazwyczaj ich nie pamięta”.

PROTEST RZĄDU POLSKIEGO

MINISTER spraw zagranicznych Zygmunt Modzelewski złożył na ręce p. Jean Baelen ambasadora Francji w Warszawie notę Rządu Polskiego protestującą przeciw szykanom władz francuskich stosowanym wobec organizacji i obywateli polskich we Francji. Jak podaje prasa uwiecznili zostali prezes Organizacji Młodzieży Grunwald - Wasilewski, prezes Związku Polaków we Francji — Blacha, współpracownik dziennika „Gazeta Polska” Stanow-ski i in. We francuskim Zgromadzeniu Narodowym poseł komunistyczny Gilbert de Chambrun zabrał głos w debacie protestując przeciwko prześladowaniom tych działaczy.

PROJEKT REFORMY SĄDOWNICTWA

STRONNICTWO Demokratyczne ma zamiar wystąpić w najbliższym czasie z inicjatywą, ustawodawczą, zmierzającą do dokonania rewolucyjnej przemiany w dotychczasowej procedurze postępowania sądowego. Na posiedzeniu Komitetu Politycznego SD, po wysłuchaniu referatu wicemin. sprawiedliwości L. Chajna powzięto uchwałę postulującą: 1) reformę ustroju sądowego, 2) reformę postępowania sądowego, 3) reformę oraz kodyfikację prawa materialnego przystosowując wszystkie te reformy do potrzeb obecnego ustroju. Reforma ustroju sądowego winna się oprzeć zdaniem projektodawców na wprowadzeniu w życie podziału sądu na: a) sądy obywatelskie, pochodzące z wyborów i powołane do sądenia znacznej ilości drobnych spraw tak cywilnych, jak karnych, i b) sądy zawodowe obsadzone przez fachowców prawników powołane do sądenia poważnych spraw karnych i cywilnych. Reforma i kodyfikacja prawa miałyby doprowadzić do uzgodnienia zasad obowiązującego prawa z tymi podstawami, które stworzył dokonany w życiu politycznym, społecznym i gospodarczym przewrót.

Przegląd Rosyjski

Artykuły prasy radzieckiej są poświęcone w dużej mierze wszelkim przejawom dążącym do szybkiej i racjonalnej odbudowy kraju na różnych odcinkach. Organizowane są również liczne kółka rolnicze. Plantatorzy pracują wspólnie z uczonymi, aklimatyzując coraz to nowsze gatunki zagranicznych roślin. Prasa nawołuje do zasiewania pól jedynie wysoko wartościowymi nasionami, do zwiększenia kultury hodowli zwierząt z tym, że każdy winien znać i lubić swoją pracę. Członkowie kolektywnych gospodarstw dążą przez doksztalcenie się na specjalnych kursach tak dla dorosłych jak i młodzieży do zwiększenia zbiorów oraz do podniesienia jakości trzody chlewnej. Poruszana jest sprawa przyjaznego ustosunkowania się uczonych do młodzieży. Pomoc ze strony uczonych winna się wyrażać nie tylko w formie wykładów, ale w pisananiu jak największej ilości podręczników, gdyż będą one służyły jako uzupełnienie do prac praktycznych, wykonywanych przez członków kolchozów.

Rabryki narzędzi rolniczych oraz warsztaty naprawy traktorów współdziałają wydajnie w tej akcji.

Na odcinku przemysłu dąży się do przygotowania nowych kadr młodocianych robotników, w związku z czym liczne artykuły w prasie są poświęcone takim zagadnieniom jak: umiejętne wykorzystanie świeżo wyszkolonych kadr młodocianych; poziomowi przygotowania techniczne nowych kadr; szanowaniu i oszczędnej gospodarce warsztatami, narzędziami oraz materiałem. Wszelkiego rodzaju maszyny winny być w rękach jedynie fachowców.

Są wydawane liczne plakaty, dotyczące zmechanizowania pracy i wyeliminowania niepotrzebnego wysiłku ludzkiego. Każdy z plakatów w krótkim sloganie uzupełnia rysunek np. „piła elektryczna zastąpiła dziesięciu traczy” — „wózec o napędzie elektrycznym wyeliminował przestarzałe taczki” — „transporter taśmowy służy do ładowania piasku, cementu, zamiast używania dużej liczby robotników dźwigających worki lub dowożących ładunek na taczkach” — „kran podnosi 40 ton”.

Dużo miejsca poświęca się opisom życia w szkołach rzemieślniczych. Omawiane są sposoby nauzenia, wystawy prac i działalności kółek kulturalno - oświatowych. Ostatnio w Moskwie odbył się eliminacyjny pokaz tańców ludowych, śpiewu chóralnego w wykonaniu wychowanków zakładów, szkolących nowe kadry rzemieślnicze. W pokazie tym brało udział ponad 200.000 uczestników. W Leningradzie odbył się popis zespołów amatorskich wychowanków szkół rzemieślniczych w działach operowym i dramatycznym.

Na odcinku sztuki ludowej idzie praca w kierunku szkolenia doborowych pracowników i instruktoerek. W Kijowie kształcą się one w artystycznym hafcie ludowym i artystycznym tkactwie.

Artystów malarzy i rzeźbiarzy cechuje wielkie umiłowanie ziemi ojczystej, związane z umiejętnością wyboru tematu dla wykonywanych prac. Tematami obecnymi są: heroizm uczestników Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, wybitne osobistości Związku Radzieckiego oraz pokojowa praca radzieckiego ludu. Jednym z ciekawych tematów jest obraz przedstawiający grupę złożoną z kobiety, mężczyzny i dziewczynki którzy z wielkim zainteresowaniem oglądają dzieła sztuki w Moskiewskiej Galerii Im. Tretiakowa. Autor del temu obrazowi tytuł: „Sztuka należy do ludu”.

Dużo obrazów jest poświęconych walkom frontowym i partyzanckim. Poza obrazami o tematach doby o-

becnej jest dużo prac o tematach historycznych z ubiegłych stuleci. Jednym z nich jest: „Car Iwan Groźny z wizytą u drukarzy”.

Podobne tematy służą również i rzeźbiarzom.

W dziale sztuki teatralnej poza licznymi zespołami amatorskimi, mającymi w swym gronie częstokroć wybitne talenty i stojącymi na wysokim poziomie jest dużo szkół dramatycznych i operowych.

Duży procent młodzieży tak robotniczej jak i rolnej kształcił się w szkołach muzycznych. Przykładem jest syn członka kolchozu, który jest już na III-im roku klasy wiolonczelowej w szkole muzycznej.

Inne artykuły są poświęcone odcinkowi odbudowy nie tylko miast ale i miasteczek, osad i wiosek.

Młodzież sowiecka chętnie wstępuje do ochotniczych batalionów pracy i tak samo jest dumna z pracy przy odbudowie Moskwy lub Stalingradu czy też małej wioski. W batalionach tych fachowcy stoją na czele poszczególnych grup, szkoląc jednocześnie dalsze kadry.

Wiele miejsca poświęca prasa opisom ulepszeń, stosowanych przez młodzież w dziedzinie budownictwa. W jednym z punktów młodzi mechanicy zbudowali ze złomu metalowego dźwig do podnoszenia materiałów budowlanych. Cała prasa jest zdania, że nie tylko w Moskwie ale i w innych miastach należy poświęcić więcej sił i uwagi na sprawę budowy pomieszczeń mieszkalnych.

Młodzież rzemieślnicza w swej pracy stara się jak najszerzej stosować nowoczesne sposoby pracy głosząc hasło: „Niech fachowcy obejmą komendę nad nowicjuszami”. Zamiast malować pendzlem tracąc na to dużo czasu, energii i materiału dziś posilkują się automatem. Liczne są nawołowania do oszczędnej gospodarki w produkcji. Dzięki elektrycy i dodatków, młodzież robotnicza fabryki obuwi mogła oszczędzając materiał wykonać z przydzielonego surowca dodatkowo 500.000 par obuwi.

Wielka ilość fabryk zdecydowała zwiększyć swą wydajność i pracować bez dotacji ze strony Skarbu Państwa, stosując również oszczędne gospodarowanie tak narzędziami pracy jak i materiałem.

Bolączki życia codziennego są ży-

wo komentowane na łamach prasy codziennej bądź w formie artykułów bądź listów do redakcji.

Mówiąc o pracy sklepów spółdzielczych autor listu jest zdania, że trudniej jest targować na wsi niż w mieście”.

Jest to wynikiem nieodpowiednich artykułów sprzedawanych w sklepach spółdzielczych dla ludności wiejskiej.

Inny krytykuje jakość sprzętu kuchennego, wyrabianego przez miejscową fabrykę, gdy inna wyrabia go w lepszym gatunku i wykonaniu.

Krytykuje się również i przerost etatów. Pisze się o listach pozostających bez odpowiedzi, „niepotrzebnych wydatkach”, potrzebie sprządaży zapasowych części do motocykli, oszczędzaniu surowca w fabrykach itp. Podkreśla się, że widomą cechą socjalistycznego robotnika winno być oszczędne gospodarowanie narzędziami pracy i materiałem. Siowa te były wypowiedziane przez ślusarza który przemawiał na Zjeździe w Moskwie w Ministerstwie Przemysłu.

Z dumą pisze sportowiec, że sport radziecki nie boi się krytyki, ale dąży wszystkimi siłami, aby zająć godne miejsce w szeregach sportowców międzynarodowych.

Akademia Nauk w Moskwie w swym miesięczniku „Sowiecka książka” prowadzi dział recenzji i krytyki, wydanych dzieł naukowych oraz informuje o nowych wydawnictwach Związku Radzieckiego. Z treści krytyki widać, że pisane one są w nastawieniach wychowawczych, gdyż podając krytyce dzieło wskazują autorowi, co należało jeszcze przeczytać z tego dzieła lub jakie są wyniki naukowych badań przeprowadzonych przez naukowców radzieckich, a pominiętych przez autora.

Pomimo nawału spraw bieżących z zakresu odbudowy kraju i racjonalnej gospodarki co się podkreśla coraz częściej i mocniej, prasa radziecka poświęca niemało miejsca „przeładowi międzynarodowemu”.

Jest wzmianka o Polsko - Radzieckim porozumieniu. Komentuje się wszelkie posunięcia Stanów Zjednoczonych — o napywie dolarów do Francji, o tworzeniu baz amerykańskiego kapitału w Europie w związku z planem rozwinięcia przemysłu w Zachodnich Niemczech, o walce o

stanowisko Prezydenta w USA, o poszukiwaniach amerykańskich imperialistów w Iranie, o przygotowaniach amerykańców do długotrwałej okupacji Austrii, o zakusach w stosunku do Hiszpanii dla zainstalowania baz morskich, o destrukcyjnej polityce przywódców amerykańskich Związków Zawodowych, planach amerykańskich kolonizacji Chin, o wydanym poleceniu zbadania przez ekspertów możliwości inwestowania kapitałów prywatnych i otrzymaniu koncesji w Chinach, o odezwie studentów z Kuby przeciw oddaniu różnych punktów na bazy amerykańskie.

Poświęca się też dużo miejsca sprawom Grecji, Bułgarii, Węgier, Włoch i Rumunii. Żywo są omawiane obrady II Kongresu Frontu Ojczyźnianego w Bułgarii, wzrost partii komunistycznej w Czechosłowacji, werbowanie przez Francuzów młodzieży autriackiej do legii cudzoziemskiej, udział rumuńskiej młodzieży w batalionach pracy oraz pertraktacje pomiędzy Frankistowską Hiszpanią a Francją.

Wydano w półmilionowym nakładzie broszurę pod tytułem „Bilans Londyńskiej Konferencji Ministrów Spraw Zagranicznych”.

W takim samym nakładzie ukazała się broszura o działalności Centralnego Komitetu WKP (b).

W związku z przypadającą rocznicą 30-tolecia Armii Radzieckiej odbywają się wszelkiego rodzaju imprezy. Między innymi jest przygotowywany z wielkim nakładem monumentalny film produkcji radzieckiej pt. „Na straży pokoju”.

Ostatnie numery czasopism są poświęcone: obradom nad wykonaniem budżetu w 1946 roku i planom gospodarczym na 1948 rok, odbudowie Stalingradu, posiedzeniu Akademii Nauk Lekarskich, ekonomii w zużyciu paliwa wszelkiego rodzaju, racjonalnej gospodarce materiałem ludzkim i surowcami, zadaniom polityki rolnej i przygotowaniu licznych fachowców.

Materiały do powyższego artykułu zostały zaczerpnięte z następujących czasopism:

„Prawda”, „Trud”, „Izwestia”, „Socialistie cseskoje Ziemiediele”, „Komsomolskaja Prawda”, „Medicinskij Rabotnik”, „Sowietskoje Iskustwo” i „Sowietskij Sport”.

Wędrowki po scenach polskich

I znowu Molier

W dodatku komedia ta sama. Miejskie Teatry Dramatyczne uczeły 275-tą rocznicę śmierci Mollera wystawieniem „Chorego z urojenia”.

Na premierę siedłem bez specjalnych obaw. Reżyseria Karola Borowskiego nie sprawia w zasadzie przykrych niespodzianek. I trudno powiedzieć bym zawiodł się w swym zaufaniu. Jedno co mój brat tak-tak-tak rzecz ogólnie, zarzucił Borowskiemu to, iż właściwy pazur talentu pokazał nam dopiero w akcie trzecim i w epilogu. Trochę to może zbyt późno jak na miasteczko, ale... to dobre, co się dobrze kończy.

Pierwsze dwa akty (trudne — przyznaję — w realizacji) były nieco niemrawe. Jedynie niektóre epizody zasługiwały tu na baczniejszą uwagę. Do nich to zaliczyć wypada scenę, której bohaterka ukrywa się w programie pod skromnym krzyżkiem. Ludwisia zebrała mnóstwo braw i słuszeń. Muzykomuszę zostawić ocenę wstawki śpiewanej przez Stępińską i Patecką. Z teatralnego punktu widzenia scena ta wprawiała w duże zakłopotanie Argana, który nie bardzo wiedział co ma zrobić ze sobą.

Rekompensata za wszystkie ustępki nieudanego prologu i trochę anemicznych pierwszych dwu aktów, był akt 3-ci pełen temperamentu, zwarty w konstrukcji reżyserskiej i bezbłędnie niemal wykonany przez aktorów. Widownia miała możność rozruszać się, zanadto nabręła entuzjazmu i w tym nastroju przyjął

równie udany (przede wszystkim w pomysł) epilog komedii.

Dekoracje i kostiumy Zofii Węgielkowej przyjemne dla oka wniósł w spektakl wiele barwności i urozmańcenia. Mimo pełny szacunek żywny dla oryginalności pomysłów Galla muszę przyznać bez wstydliwej tym razem zdradzącej brak postępowości i oprawy scenicznej Węgielkowej przekładam ponad szaryżną prostoty i zbytnej syntezy ogladaną niedawno w tej samej sztuce na Wybrzeżu.

Anda Kitschman w ilustracji muzycznej uniknęła zwykłej w takich wypadkach, a tak ostatnio rażącej w „Mężu i żonie” banalności i chęci wykpienia się byle czym. Znowu wolałbym, by sprawę tę rozstrzygał za mnie muzyk, ale wystarczy chyba gdy powiem po laicku, iż czuło się że ta muzyka jest jakoś bardzo błędną zrośnięta z komedią, a nie odnosiło się wrażenia, iż dla kaprysu przyceplono do wozu piątę koła.

Ocena gry aktorskiej w pewnym sensie będzie powtórzeniem opinii o całości. Klejer (Argan) w obu pierwszych aktach dość często zapominał że jest chorym... z urojenia; za bardzo czuł się wprzagnięty w akcję toczącą się obok. A przecież wszystkie te machinacje zawołał Belny jak i Antosi winny były stanąć tylko tło, na którym jako watek zasadniczy wyrastać miała... urojona choroba. Akcja komedii nie toczy się wcale koło małżeństwa Angeliki — sensem życia Argana jest

lewatywa i wszystkie jej konsekwencje. Przecież, aby mogła wzrosnąć częstotliwość stosowania tego skutecznego zabiegu powstała myśl wydania córki za bęcwałowatego Tomasa Diaforus. Dopiero w akcie trzecim Klejer nabrał rozpędu i scenę dwukrotnego rozstania się ze światem wygrał w sposób doskonały. Obsada postaci Angeliki i Klejanety przewidziana była zasadniczo dla partii wokalne w akcie drugim. W konsekwencji musiały wyleść braki w innych scenach. Stępińskówna nie potrafiła pokazać nam swoich smartwien, które przecież były dość poważne (nie można z góry zakładać, iż rzecz skończy się happy-end'em), a Patecki u toża śmierci Argana poczuł się trochę zgubiony.

Janina Martini najlepsza była w przebraniu lekarza-cudotwórcy. Prolog zupełnie nie udany, a Antosi poradziłby dość duże stonowanie nieco nieopanowanych gestów, a zwłaszcza stonowanie pewnej, nie zawsze w porę stosowanej, krzykliwości. Jest jednak różnica między Antosią a podobną z urzędu, ale zasadniczo inną postacią, w „Zołnierzu i bohaterze”.

Zanotować wreszcie warto udane osiągnięcia Lign Goebel (Bel'na) i Władysława Ostotuskiego (Pan Purgon). Reszta wykonawców poprawna w swoich epizodach.

Skoda, że grywa się u nas Moliera tylko z okazji rocznicy jego śmierci. Mieczysław Markowski

Jan Bolesław Ożóg

ORZĘŁ CZY KURA

Pod koniec grudnia ub. r. redakcja tygodnika „Wieś” nadesłała mi do wypełnienia ankietę zatytułowaną „Życie i praca pisarza”. Moją wina, dałem się sprowokować i na wszystkie pytania wyrzuciłem odpowiedzi. Nie było moim zamiarem wypisać się do bebeczków, dałem odpowiedzi zwięzłe, na odczepne. Znalazłem je przedrukowane w całości we „Wsi” w num. 1 z dn. 11.1. b. r., pod jakże znamionem tytułem! Tytuł: „Autentysta”, podany przez redaktora J. A. Króla, podobnie jak charakterystyczny jego komentarz: „...gdzie pędzisz kozacze” (w ogóle Król jest mistrzem w redagowaniu komentarzy), mają za zadanie zlikwidować mnie jako pisarza i ośmieszyć autentyzm jako kierunek literacki.

Zbagatelizowawszy wszystkie dotychczasowe moje wypowiedzi, dotyczące problematyki autentyzmu drukowane w Waszym Wyrazie, „Życiu Literackim”, „Warszawie” i „Tygodniku Warszawskim”, usiłuję Król mój list przedstawić jako ostateczną deklarację ideową i insynuuje mi przy tym że holduję takiemu rozumieniu pojęcia narodu, które powstaje po wyselekcjonowaniu wszelkich elementów, jakie w historii i współcześnie weszły z zagranicy w życie naszego narodu. Taka koncepcja narodu każe mi rzekomo włączyć się w nurt badawczy paleontologii i etnografii polskiej.

Jest w tym tylko część prawdy. Odsyłam Króla do mego artykułu: „O pełnię człowieczeństwa (w „Warszawie”, nr. 5 z dn. 1.IV.1947). Tam znajdzie może odpowiedź, jak pojmuję istotę narodu. Jeśli już o to chodzi. Dla jego wygody przytoczę parę zdań:

Jest to prawda wybitna, że lud to nie materiał etnograficzny tylko, ale wielka rzecz. Szerokie, mętne potoki cywilizacji, płynące na Polskę od Włoch, Francji, Niemiec i Rosji, rozlały się tylko po powierzchni i nie dotarły do tych ostatnich warstw społeczeństwa, one więc zachowały kulturę rodzimą, choć tylko w stanie utajonych możliwości...

Kultura ta w swej pierwotności wyraża się miłością potęg życia. Nie obca chłopu idea tworzenia w zaparceniu i ogniu walki z niewidzialnymi potęgami natury (niekiedy nie tylko natury), w której sprzymierzeńcami stają się ziemia i słońce i Bóg...

Jest to zaufaty w swoje siły romantyzm chłopski...

Walczyć, by nie zginąć, nie ulec tylko sobie — to głosi autentyzm. A zawód?

I tak coś z zawodu zostaje. Clergienia zwątpienia, ofiary, bunt — to są cudowne ziarna nowego życia...

Gdzie indziej piszę:

Dusza chłopska romantyczna, szukająca ustawicznych terenów pracy i wyżycia się, gdy jej w zagrodzie i na jednym morgu ziemi za ciasno, jest i musi być szczególnie podatna do wyrażenia tęsknot i pragnień awanturniczych, zdobywczych.

Tego wystarczy, by pouczyć Króla, żeby był ostrożniejszy w formułowaniu swoich sądów. Nie wszystko, wydaje mi się, co na jego wycieknie, wolno chlapinąć na papier, choćby się miało co tydzień do użytku. To jest do druku, 8 stron gazety. Twierdzenie, że „jestem uparty i pragnę odkryć społeczeństwu Żeromskiego najcenniejszego dla narodu w roli... paleontologa i geologa”, nosi cechę wyraźnej prowokacji. W ogóle zdumiewa mnie... odwaga autora notatki, który nie znając mojej pracy o Żeromskim ani celu, który mi przyświeca ośmiela się o niej podobnie, poniżające sądy wypowiadać.

Sprawa drzeworytów, wycinanek i gwary z okolic Rzeszowa ma się

również inaczej nieco, niż sobie Król wykombinował. Drzeworytów i wycinanek nie zbieram po wsi, ale sam je wykonuję (to mi wolno chyba), w jakim celu, to moja osobista sprawa, — nie wyjawiałem go Królowi. To samo dotyczy rozprawek z zakresu dziejów kultury wsi. Słuszyłyby one raczej samej nauce historii, nie teorii autentyzmu.

Pewne wątpliwości ze strony redaktora „Wsi”, co do mojego wykształcenia nasunęły mi pomysł podania mi egzaminowi z historii literatury i socjologii. Mogę Króla zapewnić, że prace prof. Moszyńskiego i prof. Krzyżanowskiego o wpływach kultur obcych na naszą rodzimą ludową są mi znane, nie mogły one jednak we mnie zburzyć przekonania, że to, co najcenniejszego mieści się potencjalnie w twórczości naszego ludu może być bez precedensów i jako coś jedynego w swoim rodzaju, co uzależnione jest od tradycji i specyficznych warunków, kształtujących się na tym skrawku ziemi, który zowie się krajem polskim.

To, że bajki i legendy wykazują charakter wędrowny i kosmopolity-

czny, mało mnie osobiście wzrusza. Nie zamierzam konkurować ani z Mickiewiczem, ani z braćmi Grimmami, czy Andersenem, nie jest też celem autentyzmu popieranie baśni. Wydaje mi się jednak, że niektóre bajki rosyjskie (jeśli się nie chce już koniecznie wysuwać polskich) różnią bardzo, bardzo mocno od bajek niemieckich.

Król cytuję mi Popławskiego. Znam go dobrze. Zalecam mu nawzajem pisma Zygmunta Wasilewskiego, a z rosyjskich pisarzy Uspeńskiego.

Zamiast hospitaować cudze mieszkania, niech się Król rozejrzy raczej po kątach swojego domu, a zobaczy, kto to zatrzaskuje drzwi od hałasów Europy, ja czy on i jego sublokatorowie. W artykule: Poza kurnik i podwórko (w „Warszawie” nr. 7 z dn. 20.X.1946 r.) pisałem:

Rodzą się wielkie miasta i porty, rosną fabryki, zagrażają światu potworne wojny, ścierają się prądy i hasła, tworzy się z hukiem historia. To musi znaleźć i znajduje oddźwięk w poezji autentystów.

Na dowód wtęrsze: Wymarsz Mać-

kowych grusz (z tomu „Wyjazd wnuka”), Młynek, Oda polna, Imperia-licji. Rok 1938, Oda złowroga (z tomu „Ogier i makolągwa”), Jan Zizka, Elegia ruska, Wolność, Prośba, Teraz Polna (z tomu „Jej Wielki Wóz”).

Nie podoba się Królowi, że autentyzm odrzuca obce „izmy”. Znowu wydaje się mu, że odkrył Amerykę — i patrzy na autentystów z góry, jak głupi Bartek „Zwycięzca” po powrocie z wojska na Magde. W swej postawie przypomina chłopca, który po raz pierwszy widzi miasto i którego upaja z daleka reklama neonowa i tramwaj. Za Marksa i Lenina dąby się bez wahania zarabając; to co jest opatrzone stemplem zagranicznym wydaje się mu genialnym. A ja znowu jestem sceptykiem. Może, gdybyśmy zaczęli dochodzić do kłótni, okazałoby się, że np. „Kapitał” Marksa znał wcześniej niejaki Ożóg, a nie Król? Może okazałoby się też, że autentystom nie obce są również pisma Lenina, Stalina i... Sartre'a, choć mówi się, że „nie umieją” ich? Nie każdemu niestety imponuje materializm dziejowy, czy egzystencjonalizm. A to już inna para kaloszy.

Ten ostatni jest zresztą spóźnionym i przetworzonym naszym polskim autentyzmem.

Oto chodzi, proszę obywateli, aby literatura polska była białym orłem, a więc niezwykłym ptakiem, a nie kurą grzebiącą na obcych śmietnikach.

Rozmiesza do łez spóźniona trojka Króla o tzw. Awangardę i próbę obrony reportażu, tego raka na kartoflu, jeśli kartoflem nazwiemy dzisiejszą literaturę. Nie będę przekonywał Króla, dla którego sprawy literackie są zawsze... proste. Niech sobie poczyta utwory Majakowskiego, Aragona, czy Jalu Kurka (umyślnie nie wybieram ani Jana Cocteau ani np. Claudela), a dowie się, jak oni pojmują postęp i czy reportaż jest jedyną i szczytową formą wypowiedzi u tych poetów. To nie są chyba wsteczniczy, i im chyba redaktor „Wsi” nie zarzuci, że ich ody, dumy czy elegie rozwijają się dowolnie, bez determinant społeczno-historycznych.

Król w swoim tygodniku, w którym się rządzi jak szara gaska, stosuje starą, od dawna przez krytyków stosowaną wobec autentystów metodę przemilczania ich groźnych (dla Awangardy) osiągnięć z zakresu problematyki społecznej i politycznej. Bardzo dobrze wie on, że ja np. pierwszy (megalomania!) podjąłem w poezji temat walki z bandami U.P.A., dalej repatriacji i osadnictwa na Zachodzie (Elegia ruska, Teraz Polna, Prośba — w tomie Jej Wielki Wóz), to jednak nie przeszkadza mu wykiwać mój „imperializm”, „szlachectkiem równy, po staremu... na wschód”.

Jaka jest prawda o tym imperializmie?

Ponad wszystko my — autentysty jesteśmy maksymalistami. Nasz „imperializm ludowy” to jednak nie O. N. R-yzacja, czy N. S. Z-yfikacja poezji. Głosimy siłę zbiorową mazure i kresowca, który w XV i XVI w. lał na wschód, a piugłem po czarnoziem Ukrainy, jak dziś pcha się z kilofem i traktorem na Śląsk, nad Odrę i Niszę, odwieczne ziemie polskie, gloryfikujemy jego głód ziemi i przestrzeni. W okresie czarnej nocy grożącej zagładą narodowi głosiliśmy odważnie, strasząc kult instynktów budujących życie.

Nie zamierzam przekonywać Króla, że wybrał błędą drogę, jako krytyk „socjologiczny”, choć mu tylko rzecz, że takie metody, stosowane przez niego, jak stawianie przed ławę oskarżonych. Insynuacje, drwiny, przekraczanie prawdy, są mi wstrętne.

Postrachem i kpina zmusza się słabych do akcesu. Artykuł i nota Króla miała za zadanie zakneblowanie mi ust. Taki niewinny kaganiec... oświaty.

Niestety nie wstydzę się autentyzmu i ani na jotę nie zmieniam zdania.

Chcę być wolnym.

Oświadczam na koniec, że z tygodnikiem „Wieś” nic mnie nie łączy. Również czysto przypadkowo znalazłem się w tzw. Oddziale Wiejskim ZZLP. Z tą grupą pisarzy, mającą wyraźne oblicze polityczne, nie mam nic wspólnego.

Niedaleko chyba od prawdy odblegnę, gdy powiem, że nienajlepiej czują się także w tym towarzystwie synowie wsi tacy, jak Burek, Czerwik Piętaś, Nędza-Kubnic, Lichański, Frasiś pisarze na serio, którym wpływ na kształtowanie się ideowe pisarstwa chłopskiego i narodowego w tej chwili — w łonie Oddziału jest znikomy.

W ich rękach, na szczęście — przyczółki autentyzmu.

Wojciech Bak

Chłop współczesny

Zasłużone wydawnictwo: Biblioteka Oddziału Wiejskiego Związku Zaw. Literatów Polskich wydało znowu książkę poetycką, która szczególnie dzisiaj powinna zwrócić uwagę, mianowicie J. B. Ożoga: Wielki Wóz.

Pisząc kiedyś w „Dziś i Jutrze” o tomkach Frasiśka i Piętaka, zwróciłem uwagę na powierzchowność zainteresowania społecznego w Polsce, gdzie prawie absolutnym milczeniem przyjmujemy się „poezję chłopską”. Świadczy to o tym, jak naskórkowe jest właściwie rozumienie spraw społecznych. Przecież Polska jest krajem rolniczym, gdzie słońca rzeczy chłopcy będą mieli ogromny wpływ na kulturę przyszłości. Czyż nie pożyteczniejszą sprawą byłoby zamiast ustawicznie się oskarżać wzajemnie o brak rozumienia społecznych problemów, poświęcić większą uwagę tym procesom, które się odbywają konkretnie? Oczywiście jest to mniej efektowne niż niekończące się dyskusje, bardzo efektowne, choć właściwie powierzchowne, ale przecież prawdziwy zmysł społeczny nie powinien się obawiać w efektowności, ale w dostrzeganiu zagadnień w kolejności ich znaczenia społecznego. Sposób ten jest jedynie racjonalny. Niezrozumienie tego zagadnienia rzuca trochę ko miczne światło na naszych społeczników.

Tomik Ożoga zasługuje na uwagę. Jest to książka utalentowanego poety. To powinno być już za interesować publicystykę. Ale jest to przede wszystkim książka „autentycznego” chłopca polskiego. W tym wypadku milczenie jest niedopuszczalne.

Ożóg w książce nie dał zbioru poszczególnych wierszy, ale rodzaj bardzo luźnego poematu o charakterze epicko - lirycznym. Poemat ten przedstawia wieś polską, widzianą oczyma współczesnego chłopca. Ożóg został jako poeta chłopem. Nostalgia za wsią cechuje prawie wszystkie jego wiersze. Interesujący niewąt-

plwie jest objaw „wsiaknięcia” wsi w kulturę narodową z wszystkimi jej zaletami i wadami. Możemy uważać za przeszłość chłopca patriotycznie nie uświadomionego. Szczególnie czasy okupacji przyczyniły się do tego sementowania całego narodu. Ma to swoje dobre strony, nie można jednak zaprzeczyć, że chłop z zaletami typu kultury polskiej wchłonił także wszystkie jej słabości. Bardzo to wyraźnie można dostrzec w poematach Ożoga. Uwadze baczniejszego obserwatora nie ujdzie pewna powierzchowność w dziedzinie myśli religijnej, politycznej i społecznej. Nie tu jest miejsce, by te sprawy szczegółowo omawiać. Niewątpliwie jednak czytelnik krytyczny dobrze dostrzeże problematykę, którą poruszył. Jest świadectwem autentyzmu niesfalszowanego wierszy Ożoga, że dostrzegamy tak wyraźnie te sprawy. Należy także przy braku pogłębienia intelektualnego występuje w jego utworach jasno. Ożóg jest prawdziwym poetą (w tomie są liczne piękne wiersze), ale jest poetą-chłopem współczesnym. Jest to zresztą pochwała dla tak zagorzałego autentysty. W istocie jest on autentyczny — autentyczniejszy niż prawie wszyscy inni poeci chłopscy. Gdyby autentyzm był główną miarą poezji byłoby to największą pochwałą.

Nie wydaje mi się jednak, by tak było. Ożógowi jest brak tego, co tak pięknie określił Norwid: „Tej doskonałości peryklejskiej. Jakby starożytna która cnota W dom modrzewiowy weszła Wchodząc, rzekła do siebie: Odrodziłam się w niebie I stały mi się arfa wrota, Wstęga ścieżka... Hostię przez blade widzę zboże... Emanuel już mieszka Na Toborze!”

Nie wydaje mi się jednak, by tak było. Ożógowi jest brak tego, co tak pięknie określił Norwid: „Tej doskonałości peryklejskiej. Jakby starożytna która cnota W dom modrzewiowy weszła Wchodząc, rzekła do siebie: Odrodziłam się w niebie I stały mi się arfa wrota, Wstęga ścieżka... Hostię przez blade widzę zboże... Emanuel już mieszka Na Toborze!”

Nie wydaje mi się jednak, by tak było. Ożógowi jest brak tego, co tak pięknie określił Norwid: „Tej doskonałości peryklejskiej. Jakby starożytna która cnota W dom modrzewiowy weszła Wchodząc, rzekła do siebie: Odrodziłam się w niebie I stały mi się arfa wrota, Wstęga ścieżka... Hostię przez blade widzę zboże... Emanuel już mieszka Na Toborze!”

Nie wydaje mi się jednak, by tak było. Ożógowi jest brak tego, co tak pięknie określił Norwid: „Tej doskonałości peryklejskiej. Jakby starożytna która cnota W dom modrzewiowy weszła Wchodząc, rzekła do siebie: Odrodziłam się w niebie I stały mi się arfa wrota, Wstęga ścieżka... Hostię przez blade widzę zboże... Emanuel już mieszka Na Toborze!”

Polska wieś Ożoga nie jest Polską „przemienioną kolonizatorów”, to jest Polska rzeczywistych, współczesnych kolonizatorów. W tym właśnie dostaję błęd Ożoga — i błąd autentyzmu,

którego on z takim zapałem broni. Błąd przeciw prawom wielkiej sztuki.

Nie chcę oczywiście dawać rad i wskazówek — ani prawa ani chęci do tego nie mam — mogę jednak wyrazić nadzieję, że Ożóg da kiedyś wyraz temu prawu sztuki, dla którego autentyzm jest drugorzędą konwencją.

Może to się stać w oparciu o tematykę wiejską, — lub inną w formie „czyściej” epickiej lub „czyściej” lirycznej. Obawiam się bowiem, że jak u wszystkich poetów chłopskich — i u Ożoga operowanie wyłącznie tematyką wiejską i „luźność” formalna mogłyby w końcu wyrodzić się w manierę.

Nadzieje te jednak i przypuszczenia nie mogą umniejszyć wartości tomu Ożoga, który w sposób poetycki przedstawia współczesnego chłopca polskiego. To jest w istocie poezja chłopca.

Dobrze się stało, że ten tom został wydany. Jest on poetyckim dokumentem o wielkiej wadze społecznej.

Jeśli nie zostanie on szczegółowo omówiony, będzie to jeszcze jednym dowodem, jak „inteligentnie” w ujemnym tego słowa znaczeniu są zainteresowania naszych społeczników.

Nie będąc arcydziełem — jest to tom zasługujący na uwagę. I pozwalający mieć nadzieję, że Ożógowi się w przyszłości może uda, jak to się udało np. Kaspro-wiczowi, stworzyć dzieło o uniwersalnym znaczeniu, w którym daleko by się odczuć „prostotę doskonałości peryklejskiej”. Czeka go jeszcze dłuższa droga.

Jeśli by się to miało stać z kręceniem jego skrupułów autentystycznych — nie będziemy mu ich wypominali. Nie o autentyzm przecież przede wszystkim chodzi, lecz o sztukę. Te dwa pojęcia niezupełnie się pokrywają. Nie to nas bowiem zachwyca największe w dziele sztuki, że spotykamy się w nim z autentycznym chłopem, mieszczaninem, Francuzem, Polakiem, lecz z autentycznym wielkim człowiekiem.

Aby uwolnić czytelnika nawet od krótkotrwałego trudu domyslenia się o czym będzie traktował niniejszy artykuł, uprzedzę z miejsca, że o problemie karalności przerwania ciąży. Kto miałby ochotę uśmiechnąć się ironicznie, może dzięki tej zapowiedzi uczynić to już teraz. I jeszcze jedno oświadczenie dodam: rozważania niniejsze ograniczą się głównie do zahaczenia o problematykę prawną. Być może, że takie zacieśnienie tematu niniejszego artykułu wywoła niezadowolenie wielu czytelników, którzy woleliby, aby wspomniany problem był rozważany pod innymi kątami widzenia, przede wszystkim pod kątem trudnych warunków materialnych, które w ogóle sprzyjają wzrostowi przestępczości.

Chcąc uzasadnić wysunięcie na pierwszy plan problematyki prawnej, pozostaje tylko powołanie się na zasady etyki katolickiej. Więc przede wszystkim należy sobie zdać sprawę z tego, jakie czyny są złe, a dopiero później zastanawiać się nad tym, w jakich warunkach są one częściej popełniane. Dlatego właściwa kolejność zostanie zachowana, jeżeli problem przerwania ciąży będzie rozpatrywany najpierw w płaszczyźnie moralności, skąd krok jeden prowadzi na płaszczyznę prawa. Bo chociaż prawo i moralność są przez środowiska pozakatolickie uważane za dwie różne dziedziny, to jednak na ogół sądzi się, że nie powinny zachodzić między nimi żadne konflikty. Otóż jeżeli chodzi o problem karalności przerwania ciąży ma miejsce taki właśnie konflikt.

Gdy w prawie karnym widzi się nie tylko zbiór pogroźek dla osobnika chcącego zakłócić ład, ale również wyraz społecznego sumienia, to trzeba stwierdzić, że sumienie społeczeństwa stało się faryzejskie. Co się tyczy pierwszego punktu widzenia oddziaływanie prawa jest tu obliczone na motyw strachu, jaki ma wstrzymać ewentualnego kandydata na przestępcę od popełnienia winy. Biorąc pod uwagę drugi punkt, prawo jest tu dobitnym wyrazem moralności, który może wyrzucić swój wpływ na jednostki o niezbyt wyrobionych sądach etycznych. Ponieważ czynny koludujący z kodeksem karnym opinia publiczna piętnuje jako haniebne, stąd łatwo niejednemu przyjdzie na myśl, że musi to być coś złego, skoro prawo tego zakazuje.

Celem niniejszych wywodów będzie wykazanie, że należy usunąć z kodeksu między innymi art. 233. Aby to stanowisko uzasadnić nie potrzeba się nawet odwoływać do norm etyki katolickiej. W tych warunkach zadanie upraszcza się o tyle, że odpowiada konieczność narzucenia jednostkom należącym do obcych grup wyznaniowych, czy bezwyznaniowych takich założeń, które by się sprzeciwiały ich światopoglądowi.

Chociaż zagadnienie karalności przerwania ciąży da się rozwiązać w sposób zgodny z etyką katolicką bez oparcia się na niej, to jednak nie zaszkodzi przypomnieć tu tego, co w omawianej kwestii przeczytać można w publikacjach, referujących poglądy Kościoła na tę sprawę. Nie zawadzi ten króciutki szkic, gdyż dla katolika jedynie orzeczenie Kościoła jest miarodajne, zaś — oględnie się wyrażając — nie wiadomo, jak dalece znajomość tych rzeczy jest wśród „katolików” rozpowszechniona.

2. W KOŚCIELE.

Pogląd, że zabójstwo płodu jest przestępstwem był przez Kościół głoszony od zarania chrześcijaństwa aż po dzień dzisiejszy. Jako dowód mogą tu służyć dokumenty historyczne, z których za najstarszy podawane są Pisma Ojców Apostolskich. To, że zabójstwo płodu jest przestępstwem było zawsze w katolicyzmie kwestią bezsporną. Dysputy filozofów chrześcijańskich dotyczyły jedynie zagadnienia, kim jest embriion w świetle psychologii i teologii. Sub-

telne dystynkcje scholastyczne, rozcinające arystotelesową koncepcję duszy roślinnej, zwierzęcej i rozumnej gromadziły się wokół problemu zaklasyfikowania psyche embrionu do którejś z grup tego podziału (Słowo „rozumna” nie było tu brane w sensie psychologicznym dla oznaczenia istoty obdarzonej pewnym stopniem inteligencji, ale w znaczeniu teologicznym dla nazwania tym mianem istoty zdolnej do życia nadprzyrodzonego, do otrzymania łaski poświęcającej). Nie brakło teologów, którzy sądzili, że embriion otrzymuje duszę nieśmiertelną, czyli rozumną dopiero w kilka tygodni od chwili swego poczęcia. Mogli tak przypuszczać bez obawy popadnięcia w konflikt z ortodoksją katolicką, gdyż stanowisko Kościoła w tej kwestii nie było wypowiedziane w formie dogmatu, ani innego obowiązującego orzeczenia. Z czasem pogląd ich został wyrugowany przez dzisiejsze przekonanie, że embriion otrzymuje duszę nieśmiertelną już w momencie swego poczęcia. Stąd płynnie ostrzeżenie, że zabójstwo płodu pozbawia jego duszę możliwości uczestniczenia w szczęściu zbawionych jako nieobmytą przez Chrysta z grzechu pierworodnego.

Niezależnie od swobody, z jaką mogła być rozpatrywana filozoficzna i teologiczna strona zagadnienia, w dziedzinie prawa kanonicznego kwestia była przesądzona. Umyślnie zabójstwo płodu w jakichkolwiek okolicznościach zawsze było i jest w prawie tym uważane za przestępstwo. W myśl prawa kościelnego winny tego przestępstwa automatycznie popada w ekskomunikę polegającą na wykluczeniu go z Kościoła, co pociąga za sobą utratę praw do brania udziału w nabożeństwach, do przyjmowania Sakramentów, w razie śmierci do chrześcijańskiego pogrzebu i publicznych nabożeństw za spokój duszy ekskomunikowanego.

A zatem jeśli chodzi o filozofię chrześcijańską, był czas, że problem na pozór przedstawiał się dosyć mgliście, zaś co się tyczy prawa kanonicznego, to w ciągu długich wieków, niezależnie od wszelkich prądów kulturalnych stało ono nieugięte na stanowisku, że spędzenie płodu jest w każdym wypadku przestępstwem. Ten kontrast stanowczości prawa i niezdecydowania filozofii może być tylko przykładem ilustrującym regułę, że praktyka częstokroć wyprzedza teorię, gdyż życie wysuwa nieraz zagadnienia domagające się natychmiastowego rozwiązania, którym nauka jeszcze nie rozporządza.

Zaryzykujemy wniosek: fakt, że w pełnym poczuciu odpowiedzialności wypowiediano w Kościele poglądy w sprawach, dotyczących życia i śmierci, że spędzenie płodu w każdym wypadku piętnowano jako przestępstwo, fakt powyższy dowodzi, iż zakaz tego czynu odczuwano mniej lub więcej świadomie jako bardzo oczywistą konsekwencję normy „nie zabijaj”. Jako konsekwencja tej normy zakaz taki nie wymaga żadnych specjalnych uzasadnień. Zaś rzekomo paradoksalne stanowisko Kościoła w wypadkach konfliktu między życiem matki a życiem dziecka, kiedy to uśmiercenie tego ostatniego ma być niedopuszczalne, jest tylko konsekwentnym stosowaniem zasady, że nie wolno zabić człowieka niewinnego.

3. PODMIOT PRAWA.

Przechodząc na teren prawodawstwa świeckiego można postawić taki sam zakaz, jak w prawie kanonicznym, abstrahując całkiem od norm Dekalogu wraz od kwestii, czy człowiek niewinny może być bezkarnie pozbawiony życia.

Współczesne prawodawstwa badając swe podstawy odnajdują na ich dnie Deklarację Praw Człowieka. Ten stan rzeczy nie przeszkadza bynajmniej postawieniu ostatecznego wniosku poniższych rozważań. Niech zatem będzie Deklaracja.

Maria Budzanowska

Jedną z zasad Deklaracji, która dziś zdaje się być wytartym komentarzem, a która jednak nie zawsze bywa konsekwentnie w kodeksie stosowana jest zasada równości wszystkich obywateli wobec prawa. W myśl tej zasady np. prawo do życia przysługuje wszystkim ludziom. Na tę zasadę trzeba się powołać, chcąc wykazać konieczność usunięcia z kodeksu art. 233 przewidującego w pewnych wypadkach niekaralność przerwania ciąży oraz na fakt, że nie ma żadnych podstaw prawnych do pozbawienia życia człowieka przed urodzeniem. Prawodawcy — aby nie rozciągać prawa do życia na dziecko w łonie matki — użyli wybiegu polegającego na tym, że wszelkie artykuły, dotyczące ochrony życia ludzkiego, oparli na definicji „człowieka”, zważając na zakres pojęcia w ten sposób, że obejmuje ono tylko istoty zdolne do samodzielnego życia poza organizmem macierzyńskim. Oczywiście, że w tym zwięzonym sensie dziecko w łonie matki nie jest człowiekiem, a zatem jego zabicie nie jest zabójstwem. Ale prawnicza definicja „człowieka” jest zbyt arbitralna, jakkolwiek ma ona już pewną tradycję, jak to widać z „Kodeksu karnego obowiązującego

temporowo w R. P. na ziemiach b. zaboru rosyjskiego”. W komentarzach do tego kodeksu zostało wysunięte fizjologiczne kryterium, na podstawie którego ocenia się, czy dziecko już stało się „człowiekiem”. Tym znakiem rozpoznawczym jest czynność oddychania. Komentarz mówi co następuje: „Ponieważ oddychanie jest jednym z podstawowych symptomatów funkcji życiowych i istotnym życia warunkiem, można tedy oddychanie słusznie uważać za zasadniczy objaw początku samodzielnego istnienia noworodka”. Czytając ten komentarz trudno oprzeć się wrażeniu, że takie kryterium człowieczeństwa jest niesłychanie dowolne. Dziwactwem wydaje się myśl upatrywania rozpoznawczej cechy człowieka w rozpoczęciu przez jego organizm fizjologicznej czynności oddychania. Właśnie z punktu widzenia fizjologii powstanie nowego osobnika, czy to roślinnego, czy to zwierzęcego nie datuje się od momentu, gdy rozpocznie on jakąś czynność fizjologiczną, typową dla danego stadium jego rozwoju, ale dużo wcześniej, mianowicie od chwili, gdy zaczął istnieć jako zygota na skutek złączenia się plazm dwóch gamet. (Jeśli chodzi o człowieka teolo-

gia z tym momentem wiąże stworzenie przez Boga duszy nieśmiertelnej). Na tle fizjologicznego pojęcia człowieka jaskrawo występuje sztuczność prawniczej definicji. Czyżby prawodawcom dziecko w łonie matki wydało się istotą tak mało znaczącą na tym świecie, że po prostu nie przyszło im na myśl, że „to” jest człowiekiem?

Gdy się czyta uwagi, wypowiediane na temat, gdzie należy postawić granicę obejmującą zakres podmiotu prawa, nasuwa się wniosek, że koncepcja człowieka w rozumieniu prawnym ewoluje w kierunku rozszerzenia tego pojęcia na coraz liczniejszą klasę ludzi. W starożytności niewolnik nie był podmiotem prawa lecz przedmiotem. Jego zabicie nie było zabójstwem, lecz zniszczeniem własności wolnego posiadacza. Również zdarzało się, że nieletnie dzieci były uważane za prywatną własność rodziców, którą ci mieli prawo pozbawić życia. Chrześcijaństwo zwalczyło te poglądy. Ale ich echa pokutują tu i ówdzie. Np. do niedawna jeszcze niektórzy sądzili, że dziecko w łonie matki jest częścią jej organizmu, którą ona może rozporządzać według swego kaprysu. Ograniczenie tego jej „prawa” przez

Alfred Łaszowski

OPĘTANY Z GERAZY

Łódź rwała się na uwięzi, fale wtargnęły w głąb brzegu, przyjezdny naglił Apostoła, jakże im to miał powiedzieć?

Człowiek pewien, mieszkający w grobach, dziś rano przebrał swą miarę. Związany, tak długo łańcuchami targał, aż pękły, na mięśniach wzbrawane.

Wzburzony, całym sobą o głązy siarczyste uderzał. Mówiono, że ogień przepalający kamienie, jakby nagle rozżarzył się w nim.

Nie słuchając dłużej, Chrystus do łodzi wstępował i wydeżył się zagłę... W blasku czerwonego nieba, wiatr w chmury falami uderzał. Wiosła wprysły mu z rąk, słońce świeciło naprzeciw, porażeni ujrzeni je znowu. Ze wszystkich sił pałające, oślepiło przestrzenie tych wód. Gorąc w głębi rozjarzył się jasny — pęd błyskał pod nimi, promienisty wyginał się nurt. Niosło ich jakby po zboczach olbrzymim. Wskroś ścian przelewających się w roziskrzony powietrzny otchłanie, spływali w pianach śnieżnych i znowu kołyszący wynosił ich pagór. Kipiel wzdymała się stromo, a przelamana w połowie wodospadem, waliła w otwierający się dół, w rozhuśtaną i wrzącą kotłinę.

Rozstępowały się wody, pęd nagły zdławił w nich oddech, maszt olbrzymie zataczał półkolem, wpadli w otchłan świszczącą od wiatru. Głąb ruchoma nabrzmiła pod dnem i wydzwignęła ich znowu, łódź z dziobem wysoko wzniesionym uleciała na fali ku górze.

Chrystus spojrzął na dół. W przepaść zjeżdżali po umykającym zboczach i pienisty ogarniał ich nawał. Teraz oczy nabiegły Mu barwami wód, stały się czarno zielone. Można było pomyśleć, że cały sprzyja żywiołom. Patrząc, tym samym jak gdyby je wzmagał. Grzbiety gór wynosiły łódź dygocącą ku niebu i kiedy wiatr tracił oddech, na szczycie, z przymkniętymi oczami błyskawicznie zsuwali się w dół.

Apostołowie przestraszyli się teraz Myśleli, że może polubić ten świat zagrażający im jakby niezależnie od Jego istnienia. W godzinie tej, po raz

pierwszy, dobiegł ich Jego śmiech, wzniciający ruchliwość wód, które wtedy uniosły się wyżej, przebierając jak gdyby swą miarę.

Dopóki miał oczy otwarte, nie śmieli okazać strachu. Coraz większe fale nadciągające z głębi horyzontu, przelewały się z hukami pod nimi, biegły dalej wysoko spiętrzone, dosięgające nisko leżących obłoków i żagli, które brodziły wśród chmur.

Lecz wraz z zapadnięciem wieczoru, Chrystus przestał patrzeć, ułożył się na dnie i zaraz potem zasnął. Zasnął z rękami pod głową w świetle gorących błyskawic. Teraz ciemność wzburyła się znowu i wydzwignęła ich w górę, rozkołysani w coraz głębsze wpadali otchłanie.

Na tej drodze nie było już gór, unoszących łódź wiatu ku szczytom. Ściany zewsząd napierające, w pędzie łamały się stromo, z wysokości morski uderzył wodospad, fala wtargnęła do środka i pograżyli się prawie...

Zbudził go krzyk Apostołów. Gdy usta otworzyli szerzej, dobył się przez nie wrzący łoskot morza. ogłuszający rozlegał się grzmot, a szybowali znowu na wysokościach, w obłoku białej piany. Kipiel rozwarła się jakby zakotyssała i pękła wiatr przedarł ją w pędzie na pół i wtedy Chrystus powstał.

Rósł na horyzoncie, w łodzi skośnie pomykającej ogromniał. Głębia wyniosła ich znowu, widnokrąg dzwignął się cały, od najdalszego krańca zewsząd, nadciągały ku nim wzgórza wód, wzdęte od wiatru, zielono i czarno spiętrzone, na kształt żagli rozrastających się w locie. Teraz Apostołowie patrzeli Mu w twarz. Spozbrzegli, że stojąc w łodzi nachylony ku przodowi w stronę nadbiegających wciąż fal Chrystus nie ulega już prawie kotłowaniu wód, opadających za burzą, powstrzymanych zaledwie w rozbiegu. Szeregi wznoszące się stromo, gnały ku nim, z wnętrza niebios olbrzymich, z pochyłości pejzażu i chmur, wał jeden za drugim staczał się, w locie urastał i przełamany przez pół, z hukiem zapadał w głąb czarną.

W chwili gdy dokonało się ucieszenie powietrza i wód, oślepiająca ciemność runęła na nich ze zdwojoną siłą. Poczuli, że ciało Jego wchłania w siebie jak gdyby wszystkie gwałtownie nawałnic, na mgnienie uniosł się znowu, naprzeciw burzy odetchnął i wtedy usłyszeli szept Jego imający się wód, potem dwa uderzenia błyskawic.

Pęd ogarnięty jasnością, omdlewał zwolna wśród nocy, szerzył się łopot i szum, skrzydła wichru opadyły i przeciąg powietrzny ustawał. Stojące mu fala jeszcze sięgała do ramion, lecz kiedy z bliska ją tknął, w miejscu, gdzie bardzo syczała, ciche rozlało się światło, wyrwa z piany i ognia zaświeciła białą wówczas następną uśmierzył. Nad ranem ogarnęło ich morze, wonne, gorące i lotne, natężające się w blasku ekstazy, w białym i musującym świetle, wysoko pieniających się skał.

Przepłynęły pod nimi wody odlane z brązu wrzące i rozkołysane, za chwilę bełt uniosł się i szczywieniał, odurzeni szybkością powietrzną, osiągnęli zieloną zatokę.

II.

Ujrawszy ich, (przez szparę w grobie) Trygon wypadł z głębi czarno obryzany ziemią, zaraz zalał go ukrop słoneczny. Na dworze, wrzał wapienny skwar, wiatr lśniący w plescy uderzał. Stojąc, powietrzem ruszony, w jasności miotając się począł. Drzenie światła jątrzyło do krwi.

Łódź pełna męczyzn, zapowiedziana od dawna, gnała ku brzegom Gerazy.

Rzucił się w tę stronę. Krzyczący, nie mógł w sobie uśmierzyć ogromu, wszystkich naraz zabrakło mu skrzydeł za wichrem okrecając się nie nadążał, w oczach liście wirowały coraz zacieklej i szerzej, próbując sprostać im w locie, coś w sobie nagłe przeważył.

Krew, raz po raz uderzająca do głowy, w rytmie coraz wyżej wznoszących się ptaków, ona to nadała mu przyspieszenie podniebne.

Płaskającemu ziemia umknęła spod nóg, kamienie spadały po zboczach

K S J E

przepisy kodeksu było raczej wyrazem troski państwa o własną przyszłość niż chęcią zagwarantowania bezpieczeństwa życiu najmłodszego obywatela. Podobnie przepisy ochraniające zwierzęta w rezerwatach nie są nadaniem prawa do życia zwierzętom, ale wyrazem troski o utrzymanie rzadkiej, egzotycznej fauny. Szczątki owych ciasnych koncepcji tkwią w obecnym kodeksie. Polska, która niejednokrotnie chlubiła się swoim wkładem w dorobek europejskiej kultury, mogłaby jeszcze raz dać piękny przykład Europie, oczyszczając swój kodeks z barbarzyńskich naleciałości.

4. ANI OBRONA KONIECZNA...

Stąd, że embrion jest człowiekiem wynika, że jego zabójstwo zawsze jest przestępstwem. Nie może mieć tu zastosowania instytucja obrony koniecznej, która znalazła swój wyraz w art. 21 k. k.: „Nie popełnia przestępstwa, kto działa w obronie koniecznej, odpierając bezpośredni, bezprawny zamach na jakiegokolwiek dobro własne lub innej osoby”. Pomijając już użyte tu słowo „bezpośredni”, w którym widzieli przeszkodę nawet prawnicy przeciwni w ogóle karalności przerwania ciąży, trzeba zauważyć, że nie da się tym arty-

kulem uzasadnić bezkarności zabicia dziecka w łonie matki w celu uchronienia jej przed niebezpieczeństwem śmierci. Gdyż wówczas przez naciąganie „litery” trzeba by artykuł ten interpretować w sposób niezgodny z jego „duchem”.

Czyż bowiem dziecko w łonie matki nie ma prawa do wzrostu i do przedostania się na świat? Odpowiedź przecząca na to pytanie byłaby czymś fantastycznie absurdalnym. Jeżeli zatem dziecko wykonując tę funkcję, używa jedynie swoich praw, to czym wytłumaczyć pomysł podciągnięcia fizjologicznych czynności organizmu dziecięcego pod pojęcie „bezprawego zamachu”? Równie dobrze można by dowodzić, że w tych wypadkach gdy organizm matki nie stwarza korzystnych warunków dla życiowego startu noworodka, dokonywa ona niezawinionego wprawdzie, ale tym niemniej „bezprawego zamachu” na życie dziecka. A wówczas komu przysługiwałoby prawo do obrony koniecznej? Widzimy zatem, że interpretując art. 21 tak opacznie, jak chciał to uczynić prawodawca dojdziemy do wniosków, urągających zdrowemu rozsądkowi i poczuciu słuszności. Ewentualna definicja, precyzująca

sens terminu „bezprawny zamach” powinna być tak przykrojona, aby „bezprawny zamachem” nie były naturalne czynności organizmu dziecka, powodujące jego wzrost i t. p. Gdyż „prawo” nie może rościć sobie pretensji do zmieniania „natury”.

5. ...ANI WYŻSZA KONIECZNOŚĆ.

Ponieważ dziecko wzrastające w łonie matki i następnie mające się narodzić nie popełnia „bezprawego zamachu” na jej życie, a zatem nie można uzasadnić bezkarności jego ewentualnego zabicia powoływaniem się na art. 21. Odpada również możliwość wykorzystania w tym celu tak zw. instytucji wyższej konieczności, która znalazła swój wyraz w art. 22: „Nie podlega karze, kto działa w celu uchylenia bezpośredniego niebezpieczeństwa, grożącego dobru własnemu lub cudzemu, jeżeli niebezpieczeństwa nie można inaczej uniknąć”. Gdyby nawet było możliwe powoływanie się na art. 22 dla uzasadnienia niekaralności przerwania ciąży, można by wówczas argumentować w ten sposób, że dziecku przysługuje prawo do obrony koniecznej przeciw zamachowi na jego życie podjętowanemu znów wyższą koniecznością i że wówczas w po-

rządki byłby każdy kto by przeszkodził spędzeniu płodu.

Ale skądinąd jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy można artykułem 22 uzasadniać niekaralność przerwania ciąży gdyż taki czyn właściwie przekracza granice stosowności tego artykułu, jako mający podobny charakter, co wykroczenia przeciw § 2 („Nie działa w stanie wyższej konieczności, kto ma szczególny obowiązek narażania się na niebezpieczeństwo”). Wprawdzie komentarz do tego paragrafu jest tak sformułowany, że nie ma w nim mowy o obowiązku matki narażania życia za dziecko znajdujące się w jej łonie, są natomiast przykłady obowiązku nałożonego przez państwo (np. żołnierzowi) lub dobrowolną umowę (np. przewodnikowi w górach). A przecież obowiązki matki względem dziecka są uzasadnione naturalnymi i bardzo ściśłymi węzłami krwi, a nie podobnego nie łączy turystę i przewodnika poza umownymi powinnosćiami. To porównanie wyklucza, jak kapryśnie przebiega linia graniczna stosowności art. 22 Aby ją wyprostować wystarczyłoby uzupełnić komentarz par. 2 odpowiednią uwagą, rozszerzając obowiązek narażania się na niebezpieczeństwo również i na matkę ciążarną.

Po tych wyjaśnieniach chyba zrozumiałe jest, dlaczego należy wyrzucić z kodeksu cztery artykuły (231, 232, 233, 234). Ponieważ wniosek już leży jak na talerzu, przejdźmy na teren rozważań pozaprawnych.

6. BARDZO LUŻNE UWAGI.

Ale najpierw mała złościwość. obliczona na dokuczenie wszelkim wielbicielom społecznych „walorów” twórczości Boy'a Żeleńskiego. Gdy komuś jest nienawistna, prowadzona przez niego propaganda, po prostu w zachwyt może wprawić znalezienie tak kompromitującego zdania, jak to, które mu się wypsnęło w jednym felietonie. (Sprawdźcie czym przedję. W „Piekle Kobiet” na stronie sto siódmej „stoi napisane”, że: „W pewnych klasach należy wychowywać kobiety zupełnie nieświadome i nienawykłe do elementarnej nawet higieny”. Co za przepysany wydzwięk społeczny posiada ta wypowiedź!).

Rozważania zawarte w niniejszym artykule zapewne wywołają oburzenie niejednego z czytelników, tych zwłaszcza którzy nie próbują zająć zdecydowanego stanowiska wobec katolicyzmu. (Jeżeli nadużywałam tu, nadużywać i nadużyję jeszcze słowa „katolicyzm” i innych równie ważkich, katolicy zechcą mi to wybaczyć.) Wywody te mogą służyć jako tekst dla tych czytelników, którzy sądzą, że są katolikami. Niech własna introspekcja im powie, czy teza tego artykułu ich oburza. Jeżeli tak, to dowód, że katolicyzm jest czymś innym niż sądzili. Czym jest? To trudno określić. Łatwiej podawać przykłady co się w nim znajduje. W zastosowaniu do naszego problemu drogowskaz ten wskazuje rozstrzygającą odpowiedź. Bez niegody, zdani na własne siły, nie wiadomo do czego byśmy doszli. Może... może... kiedyś tam. W każdym razie na trafne rozwiązanie zagadnienia długo trzeba by czekać, sądząc na przykład po tempie, z jakim idea wolności, równości i braterstwa przez osiemnaście wieków krystalizowała się w laickich umysłach Ludzkości ma bardzo powolny pomyślny bieg. I kto wie zresztą, czy samodzielny. Kto oceni, w jakim stopniu dzisiejsze pogaństwo żyje odpryskami myśli chrześcijańskiej.

Drogowskaz i co więcej? Krzyk budzący sumienia, aby spostrzegli, że krematoryjny piec nie jest jedynym pomnikiem zbrodni krzyk wzywający do góry słońce natury, grawitując ku grzechowi, krzyk wciąż od-mawiający światu tego, czego on

pragnie najwięcej: Spokoju! Spokoju... w grzechu

„Grzesznik”... Słowo to zapewne wydawało się światowcom nieco wysłowione i nadające się jedynie do słownika dewotek. W doznanej Giovanni Papini użył raz przenośni. Wypadła ona tak oto: „Człowiek - świnią jest bardzo wdzięczny każdemu, kto usypia jego sumienie”. Wyrażenie obraźliwe, ale czy nie jest prawdą, że i takie ideale życiowe stawiają sobie ludzie: Być świnią, świnią na wieką skalę. Pławić się w użyciu jak w błocie, albo jeszcze lepiej jak glista zwierzęca, pasożytująca w jelitach piawi się w pokarmie. Zdobyc ten wyzer na wszelką cenę! Po trupach. Opancerzyć się cynizmem. Nie reagować na zbrodnię. Zabito człowieka? No to co!

Co jeszcze godne jest podziwu w katolicyzmie, a ściślej w Kościele to macierzyńska troska o istoty najbardziej wzdrgane: kobietę, niemowlaka, dziecko, nawet gdy jest jeszcze ono taką żabą, takim pierwotniakiem jak ludzki embrion.

Kościół dbał o to, aby tego życia nie zniszczyła ręka zabójcy, który może w swej „humanitarności” pocieszał się tym, że ofiara schodząc z tego świata, poczuje mniej bólu niż dżdźownica, przecięta na pół łopatą. Kościół apelował do sumień nieustannym wołaniem: grzech!

Cóż z tego że jesteśmy ludźmi „chodzącymi do kościoła”. Jeśli szukamy tam chyba jedynie nastroju i niczego więcej. Zwłaszcza o tej porze roku łatwo o nastroj, bo niedawno minęło Boże Narodzenie i nie zatario się jeszcze piętno tej uroczystości.

Zapomnijmy sobie...

Ołtarz przystrojony świerkami, z których spływa ni to kryształ ni to lód, iskrząc się w złotej mgle blasku świec. Gwiazda blizszy nad stajenką. Głębokie tony organów płyną ciężkimi falami, a nad nimi rozwiewa się wiolinową nutą pieszczotliwie li-li li-li la-la. I dlatego jest tak uroczyste, że to rocznica niezwykłego wydarzenia. Wiadomość obiegła już fabryki, huczące rytmicznym tętnem maszyn, miast, nad którymi dymią gigantyczne kominy, ruchliwe ulice z rozpedzonymi autami, sklepy, biura, kina domy mieszkalne, dotaria na tamtą stronę globu, gdzie drapacze chmur zdają się być symbolem zwielokrotnionego tempa życia. Mesjasz przyszedł!

Mesjasz? Kto to jest? Było o tym w katechizmie, ale nikt z ludzi, z których zdaniem opłaci się liczyć nie będzie miał za złe, jeśli się tego nie pamięta. Przyszedł i ogłosił dziwną nowinę, że za cenę swojej śmierci otworzy nam drogę do nieba. (Do nieba? Znamy tylko ziemię.)

Słodką kolenda kołysze się pod sklepieniem. Li-li li-li la-la... Bo jest rocznica tego dnia, gdy Dzieciątko Boże spoćzło na siano w żłobie. Cóż Mu powiemy? Okrutną prawdę. Dzieciąteczko Boże, nie ludź się. Nie dla Ciebie jest kolenda lecz dla nas, bo przy całym naszym okrucieństwie jesteśmy sentymentalni. Dzieciąteczko Boże, byłoś szalone oddając się w nasze ręce. Nie będziemy czekać aż dorośniesz, aby Cię ukrzyżować. Już teraz przebijemy małe rączki, poranimy niemowlęcą nóżkę. Li-li li-li la-la! Nie pojmujemy Twojej miłości i nie pragniemy jej. Jeśli staniesz na drodze do naszego szczęścia, krzyknimy bezlitośnie: Precz! Ukrzyżujemy Cię w Twoim Ciele Mistycznym naszymi grzechami. Oto nasza rozmowa z Tobą. rozmowa z Bogiem. Oto nasza modlitwa.

To był ostatni argument z całej serii mający znaczenie jedynie dla katolika. Już niepotrzebna jest dyskusja tam, gdzie katolicka etyka mówią wyraźnie: grzech.

Maria Budznowska

Leć na morze, przekrzyknąć chciał strumą wysokość, w oczach obnażył się nagle rdzeń skał, żagiel olbrzymi promieniał.

Padł całą długością, zarył głową w piasek. Wiosła pluskały wciąż bliżej. Żółta ziemia paliła go teraz, olbrzymi błękit iskrzył się boleśnie w uniesieniu złem, chłonął żar gleby, olśnienie przeszło wzduż ciała i jasność do dreszczu zjęczona, poruszyła wszystkimi członkami. Leżąc, każdym ruchem odtworzyć próbował tętnienie okolic zbieleiałych i palających we krwi.

Światło bijące od lodzi znowu zadrdzało w nim mocniej. Przepalony, boleśnie, do cna, na czworakach czuł się ku morzu, skoczył w górę i zaniósł się krzykiem, wśród konwulsji gorących opadał. Pełzając, zdierał ze siebie jakoby trąd żądzy, jad szalejący w ciałach mieszkańców Gerazy.

Od wczoraj już porażony, srebrzy-ście przesilał się w sobie, i teraz jeszcze daremnie ulecieć próbował.

Wzdłuż pochyłości, stoczył się do wody. Piana chlusnęła o skały. Szturm gór rozkołysanych, w bloki wapienne uderzał. O tej porze opętani przychodzili rzeźbić i morze kulo wraz z nimi, złołbiąc kruszący się kamień. Już oblepili te ściany.

Wpadł głębiej, gotów morze odepchnąć od brzegu, przeciw lodzi, aż do krwi spieniony, burzę ze siebie wyklebiał, rosły wody pluszczące jak skrzydła u ramion.

Najpierw, chciał porazić ich wielkim bałwanem i odrzucił go, spiętrzył na odlew, nie mógł nastarczyć następnym.

Kipiel odrzucona powróciła zaraz, ciężko grzmotnęła go w pierś i przełaziła się wierzchem czarno zielona ulewa.

Przewrócony miotał się pośród kamieni nabrzeżnych, a odbity od nich, do cna rozszierdzony, ujrzał siepaczy za sobą.

To ludzie ze straży krajowej wyszli jadącym naprzeciw. Trygon myślał, że idą po niego, zaczął złorać się żołnierzom. Ręce miał pełne kamieni. Kiedy go zaszli od tyłu, z krzykiem uskoczył w bok. Poznał opętanego. W momencie gdy kopać ich począł, ktoś pochwycił stopę uniesioną, i zadarł mu nogę ku górze. Leżąc na ziemi, Trygon wyrwał im się jednak, wtedy bliżej stojący,

jeśli się wdziierać na drzewa. Widząc, że już broczy pianą, z daleka ciskałi weń grudy. Ku miotającym, skoczył z krwią w oczach, cierpli, kiedy krzycał, gotów dosięgnąć chybających w locie. Ani jeden dobrze go nie trafił. Rozjuszzonego dwóch chyłkiem podeszło i zarzucili nań szybko łańcuchy, pęta ciężkie i chwytające go w pół, zacisnęły się na nim w momencie, kiedy opuścił ramiona.

Wtedy raz jeszcze w sobie natężył się cały i nabrzmiawając w ich oczach, wezbrał wszystkimi mięśniami, wypukłe węzły muskułów wypuczyły się i napięły aż... ogiera na zbczu zobaczył. Jął się wyrwać ku niemu, pęta uciekły im z rąk, a koń stał już na tylnych nogach, koguty chrypiły piejąc rozdzierając wśród skał i skoro dęba stanał, w burzy piór rudawych od razu uleciały wyżej, do czerwonoci tkłki krótkimi skrzydłami. Trygon szarpał na sobie ubranie, teraz skakał zaciekłe, zgięty w pałąk miotał się i wrzał. Jak człowiek bez nóg, skurczony przy samej ziemi, przez chwilę kipiał w przysiadzie i skoro twarz zakrył, nagły usłyszeli szczęk.

Kiedy łańcuchy opadły, jeszcze pochwycił je w locie i na pół skruszone w obu dłoniach do reszty potargał.

Zoczywszy to, tłum rzucił się do ucieczki, łódź uderzyła o brzeg i Chrystus stanął na piasku.

Apostołowie wychodzili za Nim. Trygon jakby powstrzymany nagle, pijanej zaprzestał pogoni i gorejący zwrócił się w tę stronę. Trzęsło tłum. Świeżo zerwany z uwięzi, roześmiał się najpierw chrapliwie, podrygując w miejscu przedrzeźniał jakby sam siebie. Gdy piana pokryła mu wargi łkać poczał, nagle zbiełały wśród skał. Kamienie przeświecające za jego plecami, rozogniły się w sobie i wapienny ogarnał go żar, słowa zawrzały na wietrze, cofnął się kilka kroków i cienkim głosem zawołał: Co nam i Tobie Jezusie Synu Boży Przyszedłeś tu przed czasem dręczyć nas?

I znowu wyżej się wspiał, ukazał im oczy jakby na pół oślepiebiałe, białka zalane krwią.

Twarz pałała mu jakby w słonecznym udarze, roziskrzona czerwono, prawie obdarta ze skóry. Kłaskał w dłonie, pianę zlizywał z swych warg, jeszcze próbował się

stawiąć, ale już sino nabrzmiawiał, zaskomlał i ucił w pół słowa. Ludzie najbliższej stojący podnieśli wzrok na Chrystusa. Pęd fal nadbiegających w stronę białego wybrzeża, ten pęd zdawał się wstępować weń teraz kiedy zawarł w ramionach ruch morza i nagle podał go dalej. Wtedy aż do błysku natężył się świst przesywający ich w rytmie oddechu.

Ilu zapytał Chrystus, spoglądając pod światło na leżącego w upale. Czarna krew buchnęła gdy Trygon usta otworzył. Wojsko — usłyszeli. Teraz się nad nim pochylił, nie dotykając go prawie, rękami zakreślił w powietrzu łuk nagły i ogarnąłszy go w pełni, jakby przychylił mu nieba. Wtenczas, w górę uderzył ślip pary i mgła gorejąca jęta wydzielać się z krwią. Pośród wrzasku ostrego i łkania, Trygon porwał się na równe nogi. Patrzący, trzęśli się w słońcu, rozjaśnieni i mokrzy od łez usłyszeli, że mówi coś do nich, a Trygon dymił się jeszcze, kurzawa wibrowała nad nim, jakby szukając powrotu. Chrystus wyciągnął dłoń, zwrócili się wszyscy ku zbroczom, które czarne były od wieprzów, zryte chrepliwie od chrząkań. W fantę stronę odpływał gorący ryżofioletowy obłok, kłab wielki zataczający się ciężko nad ziemią, siłą wydarły z płuc jego z świszczającą głębi oddechu. Kiedy chmura pokryła pasące się stada, kwik świni ogłuszył najbliższej stojących.

Ludzie zatkali uszy palcami. Ujrzeli kłębówisko spiętrzających się w galopie zwierząt. Wieprze wpadały na siebie z rozpędu, całe szeregi rwały naprzód po grzbietach wydłużających się w biegu, teraz ryk wezbrał czerwona kurzawa i łoskot kamieni spod racic.

Z góry na dół, po zboczu osypującym się stromo, cwałowały coraz nowe stada W hurgocie oberwanych głazów, pęd lawinami w tylnie szeregi uderzał i zapalała się krew druzgotanych...

Bał wielki świnał w powietrzu i rozbrzyźnięta się toń, plusnęło morze wzburzone, pasterze głośno krzyknęli. Zbliżywszy się w stronę Chrystusa. tłum jął dawać mu znaki białe, czerwono ubrani rozkładali ręce wzywano kogoś z oddali. Trygon przysiadł na wielkim kamieniu Szaty zgrzebne wkładał.

Alfred Łaszowski

Marek Kononowicz

Tworzące się środowisko

Salon zimowy w Łodzi

W przedwojennych związkach plastycznych zreształ się artysta o zbliznionych do siebie programach i założeniach ideowych. W ramach tych zrzeszeń urządzali wystawy, które dzięki temu posiadały jednolity charakter. A wystawione dzieła, mimo bogactwa indywidualności twórców, miały jeden wspólny mianownik: kierunek artystyczny lub kierunek ideowy. Dziś wzrosło się znaczenie Z. Z. P. A. P., którego zawodowy charakter nadaje oblicze dzisiejszym salonom, szczególnie dorocznym. Organizowane przez lokalne, okręgowe oddziały Z. Z. P. A. P. doroczne wystawy pokazują dzieła wszystkich plastyków danego okręgu, przy czym jedynym kryterium dopuszczenia na wystawę jest poziom artystyczny, niezależnie od kierunku, czy założenia programowego. Ma to swoje złe i dobre strony. Złą stroną niewątpliwie jest niejednolitość w wystawie, brak jej zdecydowanego oblicza. Zwidzając ją przeciętnie nieprzygotowany „szary człowiek” odnosi wrażenie niesłychnianego chaosu. Trudno niewyższkolenemu u odczuć piękno eksponatów, kiedy co krok musi zmieniać swoje nastawienie na nowy kierunek, jaki reprezentuje obraz przedstawiciela coraz to innego programu artystycznego. Dobrą stroną tego stanu rzeczy jest natomiast możliwość zrobienia sobie na jednym miejscu i w jednym czasie przekroju przez wszystkie różnokierunkowe dążenia artystów danego środowiska, porównanie najlepszych wyselekcjonowanych dzieł każdego kierunku. Na to trzeba być już jako tako wyszkolonym w patrzeniu na dzieła plastyczne. Dla samych artystów jest to niesłychanie ważne, aby móc pogłównie przekonać się o własnym stanowisku w ogólnej linii rozwojowej malarstwa polskiego.

Tegoroczny zimowy salon Z. Z. P. A. P. w Łodzi posiadał właśnie wszystkie ujemne i dodatnie cechy tego rodzaju wystaw. Pokazał w przekroju co działo się w dziedzinie sztuki w ciągu roku i jakie absorbują ich zagadnienia plastyczne. Ale też w wielkiej masie różnorodnych kierunków trudno się było przeciętnemu widzowi polapać. Przyglądałem się przez kilka dni łódzkiej publiczności i aż żal było patrzeć, ile dobrej woli wkłada ona w rozumienie demonstrowanych dzieł — na próżno. Puszczona bez opieki przewodnika błaskała się samopas bezradnie po cichych salach i z barwnego chaosu starała się wyluskać raczej tylko bliskie sobie i zrozumiałe obrazy — najbardziej naturalistyczne. Może byłoby dobrze, gdyby przy podobnych okazjach organizatorzy większy nacisk kładli na dydaktyczne rozmieszczenie obrazów według pokrewieństwa formalnego dzieł. Gdyby przy tym można było pozwolić sobie w pewnych godzinach na drobne przewodniki — myślę, że nawiązany byłby ściślejszy kontakt artystów z t. zw. masami. Inna rzecz, że w tym łódzkim wypadku najlepsze obrazy (choćby te nagrodzone) były poza kompozycjami Langego, bardzo dla szarego człowieka zrozumiałe, mimo swojej wysokiej klasy.

Albin Łubniewicz pokazał 3 prace olejne, z których każda rozwiązuje nieco inne zadanie malarskie. „Pejzaż z mostkiem” posiada trudny temat rozwiązany świetnie. Szarość ciepła i zimna, kolor stłumiony, a jednocześnie intensywny, nieprzebieglony. Dużo nieba w dźturach między gałęziami, a jest ono gatunkowo związane z całością kompozycji. Opanowanie i dyskrekcja w używaniu efektów bardzo kolorowych. Kultura i umiar w użyciu koloru i efektów światłociennościowych stawiają obraz Łubniewicza „W ogrodzie” w rzędzie najlepszych prac na wystawie. Może zbyt rozdrobnione po całej powierzchni kontrasty kolorystyczne przesuwają ciężar rozwiązań malarskich w obrazie w stronę światłocienności, a nie koloru. Brak wszelkich „sosów”, dobra wibracja barw niemal pointalistyczna, oraz pełne granie kolorów w centralnie umieszczonych owocach decyduje o nowoczesności obrazu wobec wczesniejszych Głowackich czy W. Pruszkowskiego. Więcej kolorystycznych rozwiązań ma jego „Rozmowa”, gdzie na dużej powierzchni obrazu wyraźnie wyodrębniają się subtelnie kontrastowane platy barw, dobrze przetrzymujące się w kompozycji płaszczyznowej.

Adam Prachtowski wystawił też trzy oleje, w których pokazał dwa różne

sposoby użycia barwy i dwa różne rodzaje pracy artystycznej. Bryły „Głowy męskiej” i „Głowy kobiecej” są budowane kolorem. Malarz wykazał umiejętność wyszukania na krzyżownie bryły kilku skrajnie różnych barw o walorze jednakowym, albo tak bliskim, że tworzą łagodne przejścia perspektywiczne. Czerwone brzozy, wybielone zielenie i żółte nie leżą obok siebie i nie łamią płaszczyzny, lub fałdują ją w zamierzony sposób. Mimo pozorów pośpiechu i niedbałości czuje się głęboki namysł przed każdym uderzeniem pędzla. Z jego „Willi na ulicy Gdańskiej” bije wielka malarskość i zachwycenie niecodziennymi zestawieniami: zabelone karminy, niebieskie fioletoły i jasne, intensywne zielenie położone obok siebie z potrzeby malarskiej, z przejęcia a nie z maniery. Bogactwo rodzajów pociągnięć pędzlem zdaje się też wynikać ze szczerego, entuzjastycznego poddania się natchnieniu wizji malarskiej, a nie z maniery. Są miejsca, z rozwiązania których autor po otrzeźwieniu z hipnozy natury, na pewno nie mógłby zdać sam sprawy. Jest to niemal oczywisty dowód, że obraz tworzony był w jednym z tych rzadkich momentów wysokiego napięcia wszystkich władz psychicznych artysty, z pasją szybko i w uniesieniu, w przeciwieństwie do z namysłem budowanych studiów portretowych. Wysoki stopień tego napięcia zdecydował o wartości dzieła, słusznie nagrodzonego przez W. Kultury i Sztuki Z. M. w Łodzi.

Stefan Just dał na wystawie chyba swoje nienajlepsze prace. Jest zdaje się teraz w trakcie opracowywania kompozycji religijnych, które pewnie pokaże na wystawie bardziej specjalnej. Mimo to jego „Studium portretowe” jest chyba najlepszym portretem na sali. Konkuruje z nim może tylko „Portret męski” Pisarka, ustępujący Justowi pod względem temperamentu, uchwylenia charakteru modelu i bogactwa faktury, górujący nad nim jednak dojrzałością przemysłowych kolorystycznych. Justowe pejzaże dają wrażenie niekonsekwencji założenia: przy naturalistycznym rysunku całkowite zlekceważenie waloru. Płaskość podkreśla jeszcze niemal monotone rozplanowanie kolorów bliskich sobie, oscylujących między ciepłą zie-

lenią, a płowym brązem. W tych wąskich ramach potrafił Just pokazać nadszywaną różnorodność tych dwóch grup kolorowych przy niesłychanym bogactwie faktury. Obawiam się, czy pewne osiągnięte w tej dziedzinie majsterstwo nie odciągnęło Justa od zagadnienia kolorów pejzażu. Zlekceważenie i waloru przy naturalistycznym podejściu stwarza niezamierzoną płaskość.

Wzorem niezmanierowanego zdyscyplinowania fakturalnego może być „Przepradzka” Eugeniusza Pisarka. Obraz niemal graficznie podzielony na ciasno zestawione części potraktowany jest w każdej z nich nieco odmiennym typem pociągnięcia farbą zależnie od faktycznej potrzeby. Daje to widzowi przy patrzeniu wielką satysfakcję, zadowolenie z logiczności i konieczności takiej a nie innej formy. Samo dołem centrum obrazu wymyka się tej dyscyplinie, ale też przez to nie ono jest obiektem malarskiego zainteresowania.

Dwa pejzaże Wiesława Langego odświeżają swoim stylem od reszty dobrych obrazów na wystawie. Pierwszy z nich, mniejszy ma dużo nastroju. Rozwiązanie czysto graficzne, ale o bogactwie koloru — malarskim. Obraz utrzymany w tonie chłodnym zaciekawia dwoma silniejszymi akcentami: czernią i bielą. Czerń ma tu zadanie nie tylko kontrastu dla bieli, ale też i wiązania poszczególnych elementów w graficzną całość. Druga kompozycja (nagrodzona przez Prezidenta Miasta) bogatsza, ale mniej zwarta. Za to przejrzystsza. Płaszczyzna obrazu, przecięta horyzontem na chłodną górę i ciepły dół, związana kompozycyjnie przez centralny kształt. Znowu akcenty bieli nadają pracy nieco charakteru graficznego, choć osłabione są przez ogólną jasność obrazu i mnogość żółcieni w centralnym kształcie. Czerni znowu włączone elementy w całość choć mniej zwarci, zato bardziej rysunkowo.

Z najlepszych prac malarskich wymienić jeszcze trzeba kilka. Dorota Szenfeld wykazała wszechstronność swej wrażliwości. W „Domach nad kanałem” umiała wydobyć z natury dużą dozę kolorowości. „Dzieci partyzanta” są malowane płasko, mają dobry rysunek. Kontur brutalny, ale nierazący w zestawieniu z bardzo

śmiała faktura. Kompozycja pociągająca, ale i nieco drażniąca. Natomiast jej „Martwa natura” to rzecz subtelna w kolorze i w fakturze. Malarstwo raczej płaskie, graniczące z ilustracyjną grafiką.

„Martwa natura” Jerzego Krawczyka jest przemysłowa kolorystycznie. Duże części plam kolorowych są zdecydowanie określone i celowo zestawione ze sobą. Wewnątrz plamy kolor nie jest nudny, bo rozbity barwami składowymi i fakturą. Jest i zrównoważenie kolorów (czerwona chustka i zielona książka) i „efekt niepokojący” (niebieski wierzch książki). Jego studium aktu dowodzi, że umie on nie tylko komponować, ale i widzieć naturę kolorowo.

Józef Kowalski z Piotrkowa namalował z wielkim temperamentem kobietę „Przy kołowym”. Rozkosz barwnego widzenia udziela się widzowi. W obrazie dominuje impresja światła. Bardzo miła w rysunku, a szczególnie w kolorze jest kompozycja tegoż artysty „Pokój dziecięcy”. Bogactwo rodzaju zieleni jest umiejętnie związane centralną plamą różu. Szkoda tylko, że zbyt brutalna faktura zabija subtelność koloru i odstręca od patrzenia. Użyto zbyt gruboziarnistej techniki do obrazu tego formatu.

Tadeusz Sprusiak choć ma w sobie dużo malarskości drażni jakimś nieuporządkowaniem faktury, która (w przeciwieństwie do Szenfeldowej, Pisarka i Jędrzejewskiego) przyblęra na manierystę, a traci na bogactwie. Najlepsza z wystawionych jego prac „Martwa natura z kwiatami” trochę w kolorze przypomina Theotocopuli. Tu rozchlapanie fakturalne zostało szczęśliwie użyte na trud zbudowania fałd draperii i drobniaków martwej natury, manierystycznie wylazło tylko w czerwonych kwiatkach.

Teresa Kulejowska ma na wystawie dobrą martwą naturę. Jest ona przede wszystkim myślą ustawną. Przedmioty rozsypane tak, że świetnie komponują się w obrazie. Niebieska torba zasachowana pomarańczowym szalem i żółtymi jabłkami. Te znowu strategicznie chronione są przez zielone gruszki od czerwieni pomidorów. Namalowane to z dużą kulturą malarską, choć nieco przebieżone.

„Ghetto łódzkie” Maurycyego Brom-

berga należy do tych prac, które mimo swej dość dobrej przeciętności malarskiej dają nam smak epoki, bez żadnych chwytów literackich. Nim wyczytałem w katalogu temat obrazu, odczułem więc, że za „Obiektywną tragicznością”.

Na wystawie popisało się kilku dobrych akwarelistów (Loria-Landecka, Mróz, Chwaliński, Skrobiński). Z nich ostatni wywarł pewien wpływ na akwarelę niektórych malarzy łódzkich (Tyblewski). U Skrobińskiego pociąga przejrzysta technika akwarelowa. Plamka kolorowa jest tylko raz położona na mokrym papierze, nie miesza się z sąsiednim, zostawiona są nawet izolujące je białe wypustki papieru. Maluje szybko pod pierwszym wrażeniem widzenia. Ta spontaniczność widzenia i świeżość techniki rekompensuje pewien brak finezji koloru.

Umieszczenie części akwarel w gablotkach było nieszczęśliwym pomysłem. Zmuszało widza do patrzenia z bardzo bliskiej odległości, a obrazy narażało na stałe zakurzenie. Grafika reprezentowana była słabo, ale w dobrym gatunku. W pracach Ludwika Tyrowicza uderza to, że stosunkowo skromnymi środkami technicznymi osiąga wielkie bogactwo treści graficznej. Umie zrezygnować w odpowiednim momencie z dopowiedzeń, co wciąga widza w pracę tworzenia wizji i daje mu satysfakcję. Wzorem tej umiejętności jest kompozycja „Zakopane”, nagrodzona przez W. Kultury i Sztuki Z. M.

Dobrą litografię wystawiła Maria Spotowska. Rysunek nie przegadany, może tylko w samej masie architektonicznej zbyt mało walorów przeciwna się ciężkiej czerni góry i dołu. Dobre są też rysunki Aleksandra Bogena.

Rzeźb wystawionych nie omawiam. Nie czulibyśmy się w swojej dziedzinie. Wymienię tylko wystawiających: J. Fajngold, J. Niziński, B. Pacanowski, T. Piotrowicz, S. Gorszejn i W. Wołosewicz, który otrzymał nagrodę Wydziału Kultury i Sztuki Z. M. w Łodzi.

Wystawa łódzka mimo, że pokazała nie wszystkich artystów (nie wystawiał między innymi świetny malarz łódzki Konstanty Mackiewicz) była świadectwem, że Łódź, sama nie mająca silnych tradycji artystycznych, mimo skupienia po wojnie kilku wybitnych talentów nie wytworzyła sobie jeszcze własnego oblicza własnego „środowiska”. Jeszcze w tym łódzkim kotle wrze i gotuje się, jeszcze pierwiastki zebrane ze wszystkich zakątków Polski nie stopiły się w jeden naturalny związek z elementem miejscowym, kształconym zresztą też poza Łodzią. Środowisko jest in statu nascendi.

Eugeniusz Paukšta

MORCINKOWE SZUKANIE

Na psychice naszego pokolenia piętno tragicznych przejść czasów wojny wywarło i wywiera nadal wpływ olbrzymi. Trudno byłoby tuż się, że z wpływu tego potrafimy się całkowicie wyzwolić. Może jako zbiorowość, masa — łatwiej nam przyjdzie w atmosferze pracy, wysiłku, nad odbudową państwowości zmniejszyć do minimum psychiczne narosty pookupacyjne. W odczuciu jednak poszczególnych indywidualności przeżycia lat minionych wpływały będą z całą pewnością na dalszy stosunek do życia. Z biegiem czasu tracą one ostrość konturów, wyrazistość barwy, ale w podświadomości pozostaną i w kierunku złym lub dobrym — nastrojać nie zaprzestają norm naszego myślenia i postępowania.

Przełomy psychiczne jednostek, szukających przystani po latach zmagani wewnętrznych i zewnętrznych, w polskiej literaturze nie znalazły jeszcze szerszego uwydatnienia. Dotąd przeżywalimy raczej konflikty sumień i dusz bezpośrednio na tle okupacji. Teraz przychodzi moment analizy stanów psychicznych, będących refleksją tamtych czasów. Temat to złożony i trudny, niesłychanie subtelny. Właśnie bowiem biorąc pod uwagę stan pewnych powszechnych spacji psychicznych, pewnych przeobrażeń, autor utworu zatracić może właściwe proporcje, zaplątać się w rozróżnianiu granicy pomiędzy rzeczywistością realizmem przeżyć duchowych jednostki, a ich fikcją, nieprawdopodobnością skojarzeń i wyciąganych stąd wniosków.

Nowa książka Gustawa Morcinka — „Zagubione klucze” — jest swego rodzaju ewenementem w twórczości tego pisarza. Nie tylko ze względu na sięgnięcie po inną, odległą dotychczas zostawioną przez pióro

ziemi śląskiej — tematykę, ale i przez sposób ujęcia, przez specyficzny sposób podejścia do tematu. Po „Listach spod Morwy” i „Listach z mego Rzymu” noszących charakter pamiętnikarski, otrzymaliśmy obecnie pierwszą właściwie powieść wojenną Morcinka. Ma ona zarówno wszelkie dawne znamiona jego talentu i jego zainteresowań, jak też jednocześnie dotyka zupełnie nowych i w nowy je sposób interpretuje. Już z tego choćby powodu godna jest bacznegoś uwagi, wyrzecz bowiem może decydujący wpływ na dalszy kierunek twórczości autora. „Wyrażenie człowieka chodnika”. Morcinek w „Zagubionych kluczach” wyraźnie przeżywa pewien przełom artystyczny. Nie zrywając z dawnymi, szuka nowych tematów, nowych dróg i środków ekspresji. Dlatego może i omawiany tu utwor jest tak różny w poszczególnych swych fragmentach. Znać na nim wyraźnie pasowanie się wewnętrzne autora, wahanie między „dawnymi a nowymi laty”.

W doskonałej i niezmiernie na czasie wydanej pracy p.t. „25 lat literatury na Śląsku” — Zdzisław Hierowski, snując rozważania na temat przyszłej twórczości pisarskiej G. Morcinka, pisze o nim: „Brak mu bowiem głębszej znajomości psychiki ludzkiej i umiejętności przedstawiania stanów psychicznych”. Tymczasem „Zagubione klucze” są typową powieścią psychologiczną. Akcja i opis ustępują na drugi plan — są potrzebne o tyle tylko, — o ile przez to pragnie autor tym silniej podkreślić przeżycia wewnętrzne postaci utworu. Wyłania się więc pytanie — czy Morcinek wyszedł z tej próby osiągnięcia nowych wartości i nowo-

*) Gustaw Morcinek — „Zagubione klucze”. Wydawnictwo Awiz, Katowice, 1948;

go wyrazu artystycznego w powieści typu psychologicznego — zwycięsko — czy też raczej trzeba byłoby przyznać rację Hierowskiemu i jego ocenie możliwości Morcinka w tym zakresie.

Autor „Zagubionych kluczów” przeżył pięć i pół lat w obozach koncentracyjnych Dachau i Sachsenhausen. Pięć i pół lat żył co dnia za pan brat ze śmiercią, poznawał z bliska zbrodnię, nienawiść, obserwował wyłanianie się z człowieka zwierzę — i wśród więźniów i wśród uwiecznionych. Te długie lata nie mogły nie wywarzyć zasadniczego wpływu na postawę psychiczną Morcinka. Zbyt wiele przeżył za jęczącymi drutami, zbyt wiele widział i rozumiał, by nie wywarło to wpływu na dalszy jego stosunek do życia i do własnej twórczości. Oba tomy „Listów” nie mogły wyczerpać nagromadzonych myśli — tym bardziej, że nie mają one końca. Morcinek wciąż szuka zagubionej w obozie wiary w człowieka. Jak szuka też dróg, które dają człowiekowi spokój i uczynią go dobrym. Bo mimo wszystko, nie zagnęła w nim ta szczerą, odległą wiarą w to, że ludzie są dobrzy. A raczej, że mogą być dobrzy.

Po uwolnieniu Morcinek zwiedza Francję, Włochy i Belgię. Rozdważa się tu psychicznie — z jednej strony widzi piękno, artyzm — w swych wędrówkach po galeriach dawnych mistrzów po muzeach, wśród kościołów i zabytkowych budowli. A jednocześnie styka się z człowiekiem zdeprawowanym, wykończonym przez wojnę. Spotyka ludzi, współwziewniaków z obozu, którzy dziś budzą jego obrzydzenie. Styka się ze środowiskami emigracyjnymi, zajęętymi szmugłem, ba nawet rozbojem. Dosadnie utmuje to Tina, jedna z czołowych postaci utworu: „Ty zaś i ci wszyscy koło ciebie powoli przemle-

niacie się w moralne truchło. Stajecie się ludźmi starymi, skończonymi, bez woli, bez nadziei. Takie życie zabija. To nie jest życie. To jest mizerna egzystencja, spychanie dnia za dniem, oczekiwanie na coś, co ma nadejść, a o czym wiecie że nie nadejdzie. Na co ty właściwie czekacie?”

Na tym tle bezpośrednim — emigracyjnym i dalszym — obozowym — rozwija Morcinek dręczący go problem — szukania sensu i właściwej drogi dla zbłąkanego świata, dla zagubionych w nim ludzi.

Cechą zasadniczą powieści Morcinka jest ta sama co i w dawnych jego pracach, bezpośrednio, dogłębna szczerść. Autor nie fabrykuje swych utworów, on je przeżywa. Stąd tyle w nich zawsze momentów autobiograficznych. Szczególnie silnie to uderza w „Zagubionych kluczach”, w czolewej potaci utworu — Zęgie — cokolwiek zbyt sentymentalnej, niezyciowej, ale na wskroś sympatycznej, — nie raz możemy dostrzec autora. Nawiazuje to między nim a czytelnikiem jakiś bezpośredni, poufny stosunek. Podkreślono już nieraz siłę sugestii w prozie Morcinka. Tutaj występuje ona szczególnie wyraziście.

Siła Morcinkowej sugestii, nie włączając go z czytelnikiem sprawiają, że ten ostatni omija nie dostrzegając pewnych niedociągnięć w kompozycji artystycznej utworu. Morcinek ma tak wiele do powiedzenia; myśli, doznania, wrażenia piętrzą się u niego jak fala lawina, a sam on jest przepelniony takim gorącym pragnieniem podzielenia się nim z czytelnikiem. Że zapominając o właściwej konstrukcji utworu, rozpłyca go, wciąca weń dziesiątki nowych problemów, kwestyj, które w nim nurtują, które go dręczą, a których nie ma silw odczuć na później. Ta wada Morcinka pozostała w nim z prac

przedwojennych. I kto wie, czy nie ona jednak w dużej mierze przyczyniła się do jego olbrzymiej popularności. Czytając *Morcinka*, ma się nieraz bowiem wrażenie takiej szczerzej, poufnej pogawędki autora z czytelnikiem.

Roza wspomnianym Żegotą dwie jeszcze postacie wybijają się na czoło utworu — uczestniczka Powstania Warszawskiego — Hanka, i żołnierz w spódnicy — markietanka Tina. Pierwsza we Włoszech, druga w Belgii. Charaktery różne całkowicie, wspólne tylko jednym — obie poszukują zaginionych kluczy. Hanka nie potrafi ich znaleźć, prześladowana kompleksem swego kalectwa nie zdoła bywa się na siłę woli, by pozbyć się urazów i wspomnień wojennych. Umie tylko nienawidzić i tęsknić do... ciszy. Jak mówi w którymś miejscu: „Gdyby się wypaliło we mnie pragnienie zemsty, gdybym umiała przebaczać, gdybym w końcu mogła od-

szukać te zagubione klucze do siebie... Jesteśmy jak nasi pierwsi biblijni rodzice, wypędzeni z raju. Jest to wspaniały symbol naszego życia! Nienawiści swej, zwidu wspomnień widzianych zbrodni, narosłych, chorobliwych kompleksów nie może przełamać — poddaje się im, sugeruje ją morze, wizja potopionych marynarzy wołających ją ku sobie; czerwony żagiel rybackiej łodzi. W to morze odeszła bez żalu.

W inny sposób — śmiercią duchową — omal nie ginie Tina. Włóczęga z wojskiem, przez liczne kraje, atmosfera wojskowa, ogólne obniżenie poziomu, omal nie zatracają w niej pionu. Ratunkiem dla niej staje się poszukiwanie „zagubionych kluczy”. Wstrząsem decydującym jest fakt, gdy ułonna, sparaliżowana dziewczyna przychodzi przed posąg Matki Boskiej w Beauvaing, by Jej dziękować za... cierpienie. I ta podziękowanie przynosi kalece poczucie szczęścia.

Ten obraz pozwala znaleźć *Tinie* spokój, oddaje jej w ręce zagubione klucze, zsyła dar modlitwy, którego przedtem nie znała.

Znajduje sens własnego bytu i zrozumienie istoty życia także Żegota. Alegoryczna scena z Chrystusem Ewangelicznym, uspakajającym wzburzone fale morza jego duszy słowami — *Ite missa est, Alleluja* — kończy poszukiwanie utraconych przez ludzi w koszmarze wojny — szczęścia, ciszy, spokoju.

Gustaw Morcinek głęboko odczuwa niepokój dzisiejszego świata. Męczy go wraz z innymi nieustające, ciągłe szukanie zagubionych kluczy człowieczeństwa, sensu i celu, a zarazem podpory w bytowaniu ludzkim. Wojna w swym rozkiełznaniu najniższych instynktów, zwała wszystko co w duszy ludzkiej było krusze, nietwałe. Ci co pozostali, szukają od nowa. Nie wszyscy znajdują — ci giną jak Hanka.

Autor stawia problemy śmiało, odważnie. Ostro stwierdza bankructwo wiary jedynie w rozum. Szuka sam i każe wraz z sobą szukać czytelnikowi tej siły, która się oprze i materii, i zlej woli człowieka, i szatanowi. I znajduje je, a wraz z nią zagubioną przez wojnę wiarę w człowieka.

Książka Morcinka jest szlachetna i piękna. W dodatku napisana pięknym, barwnym językiem. Nie raz nawet przejawiająca się miejscami zbyt dużą czułościowość, sentymentalizm, których nie mogą stonować bardziej ostre, realistyczne wstawki. Podobnie nie raz tu i ówdzie przejawiająca się zbyt dużą „romantyczność” postaci. Praca jest godna talentu *Morcinka*, choć nie wydaje się, by była jego szczytowym osiągnięciem. To jeszcze musi nam autor przynieść.

Z uwagi na poruszony, palący problem niepokoju szukania dzisiejszego

OFICyna KSIĘGARSKA

Warszawa, Marszałkowska 34.

przyjmuje subskrypcję na egzemplarze imienne wydawnictwa bibliofilskiego:

KANZONA DYLA SOWIZDRZAŁA,

tekst A. Nowaczyńskiego
9 dwubarwnych drzeworytów
K. Sopoćki,

które ukażą się w ilości 100 egzemplarzy w kwietniu b. r.

Cena: 1 egz. 2 tys. zł.

człowieka, na głęboki, twórczy katolizm utworu — „Zagubione klucze” śmiało zaliczyć można do najwzrostniejszych utworów literatury polskiej po wojnie.

Eugeniusz Paukšta

Zbrodnia w Dzielnicy Północnej

Stefan Kisielewski (Kisiel)

21

— A kto pan właściwie jest i poci pan przyjechał?

Gromel zawałił się chwilę, ale nie było celu zatajać prawdy — przeciwnie, prawda mogła mu pomóc.

— Jestem komisarzem Policji Śledczej ze stolicy, prowadzę sprawę o zabójstwo Ludwika Galarda, dlatego też przyjechałem, aby zobaczyć miasto, gdzie on się urodził i wychowywał.

Stary drgnął lekko, oderwał wzrok od obrazków na ścianie i przyjrzał się Gromelowi. Oczy miał wyblakłe, ale zupełnie jeszcze przytomne, była w nich nawet pewna żywość i bystrość.

Długo milczeli, przez ten czas zmierzch zrobił jakby kilka kroków naprzód, obrazki na ścianie zagnęły się zupełnie. Gromel obawiał się już, że kompletnie wystraszył starego, gdy ten przemówił nagle, jakby z pewnym ożywieniem.

— Ludwiś Galard — wiem, wiem — ktoś by go znał lepiej ode mnie: byłem jego profesorem w tutejszym liceum. Ha, ha — dawne to były czasy — uczyłem jego i jego przyjaciół, Lorma i Randena. Już wtedy wleździłem, że to się źle skończy — mówiłem im to nieraz.

— Jakto, więc Filip Randen i Kamil Lorm także pochodzą z X...?

— Z okolic, drogi panie, z okolic. Hrabia Randen, ówczesny Filip, miał tu wielkie majątki, a stary Lorm był u niego administratorem. Ci trzej chłopcy przypadli sobie do smaku, jak rodzeni bracia. Ależ paliło im się w głowach! Przestrzegaliśmy ich — młodość musi być młodością, nie może sięgać za daleko. A oni tylko książki i książki — te książki im przewróciły w głowie — więc postanowili świat przewrócić do góry nogami. Budowniczość świata — he, he.

Komisarz zdawał się okazywać coraz większe zainteresowanie rozmową.

— Włec pan profesor słyszał o łożu „Budowniczych Świata”?

— Czy słyszałem — młody człowieku! Byłem przy jej narodzeniu! Ja także byłem kiedyś wolnomularzem — o, to już bardzo, bardzo dawno — ci trzej chłopcy nie mieli przede mną tajemnic. Odradzałem im, jak tylko mogłem — ale cóż — w młodych głowach pali się zawsze, a u nich więcej jeszcze niż u kogokolwiek. Wiedziałem, wiedziałem, że to się musi źle skończyć. Sama zasada była błędna — zupełnie błędna.

Staruszek zamknął i wpatrzył się w gestniejący za oknami zmierzch. Gromel, podniecony, przysunął się z krzesłem.

A jakaż była ta zasada, panie profesorze — zapytał żywo, przysiadając się jeszcze bliżej. Pan pozwoli, że się przedstawię. Jestem Antoni Gromel, komisarz Policji Śledczej.

— Doktor Emil Barend, emerytowany profesor nauk humanistycznych — wygłosił z dumą staruszek. Widzę, że pana interesują te rzeczy, młody człowieku. Łoża Budowniczych Świata — ho, ho. Zaczęło się jak dziecinada, a potem — Znałem dokładnie ich plany — bardzo dokładnie.

Komisarz czekał w milczeniu, żeby nie spłoszyć staruszka.

— Ich program działania był nie piśnany, ale bardzo dokładnie ustalony. Ułożył go Filip Randen — o, to także była bestia zjadła. Chcieli opanować świat, rozumie pan? A zapomnieli o tym, że świat jest Boży — nie sięgać człowiekowi po niego.

— Opanować świat?!

— Tak — Ludwiś był taki zdolny do fizyki i chemii — wie pan? Obiecywał im, że zrobi wynalazek, który odda im świat wręcz. Ale ponieważ świat był różnorodny, ludzie mają różne poglądy i zamiary, oni postanowili wejść wszędzie — rozumie pan? Do wszystkich partii i organizacji — jawnych i tajnych — żeby na wszystkim trzymać rękę. Mrzonki panie, bzdury, niebezpieczne — mówiłem im, świat jest Boży, nie wiercie w fizykę ani chemię, wiercie w Boga, który sam o wszystkim postanowił — On jest Budowniczym Świata. Ale nie chcieli mnie słuchać, ani czytać moich książek — oni lekceważyli humanistykę — dla nich tylko siła fizyczna była czymś. No i właśnie — doczekał się Ludwiś — wie działałem to, wiedziałem...

— To bardzo ciekawe rzeczy — wtrącił komisarz.

— Ciekawe i nie ciekawe, mój panie. Nagle staruszek nachylił się do komisarza, konfidencjonalnie i trochę plotkarsko. — Chcieli odrzucać kontakt ze wszystkimi i wnieśli się między tych... emigrantów. (Pan wie — w naszym mieście byli Hiszpanie i Francuzi — polityczni. I wtedy zaczął się romans Ludwisia z tą — Lurizą. O, to już było nadto! Ojciec Ludwisia, ówczesny Panie nad jego duszą, zwrócił się do policji, żeby wysiedlić przybłądów. Ale oni opętali agenta policji, tego, co to był od spraw politycznych, jakżeż mu tam było... Pikrona...)

— (Pikrona?! Komisarz krzyknął niemal. — Obecny radca?!

— Radca nie radca — tego ja dobrze nie wiem. Grunt, że on nie dał wysiedlić tych kobiet — Ludwiś i tamci zmówili się z nim i przystali do tej ich niby łoża, a przez te kobiety chcieli zyskać zaufanie „czerwonych”. Była przy tym cała historia, bo ta Luriza miała narzeczonego, Francuza Lore. Widziałem go tu nawet wczoraj — wrócił widać.

Komisarz zerwał się na równe nogi.

— Edwarda Lore, widział pan wczoraj?!

Tu — gdzie?!

Staruszek spłoszył się wyraźnie — Gromel zauważył to po niewczasie. (Profesor Barend wstał i trzesząc się ręką jął chować fałkę do wyjętego z kieszeni woreczka. Miał coś pod nosem, nie patrząc na komisarza.

— Może pan zostanie jeszcze, panie profesorze? — komisarz starał się prosić jak najłagodniej.

— Nie, muszę już iść, bardzo mi miło — bełkotał staruszek. — To dawne, dawne sprawy — tu już nikogo z nich nie ma, wyjechali — potem była wojna. — No, żegnam pana, komisarzu.

Gromel pozostał sam w ciemnej już zupełnie salce kawiarni. Staruszek zniknął za drzwiami. Komisarz przez chwilę stał nieruchomo, segregując w myśli wszystko, czego się dowiedział. Nie było tego wiele, ale...

(Powoli szedł ku wyjściu, zapominając zapłacić za wypitą kawę, gdy uwagę jego zwróciła smuga światła, padająca zza szynkwasu. Z tyłu za bufetem znajdował się mały pokójek, w którym paliło się światło — przez uchylone drzwi padał właśnie ów blask, który zwrócił uwagę komisarza. Gromel dyskretnie zajrzał w szparę: przodem do niego siedział tam tegi oberżysta, zajęty rozmową z jakimś mężczyzną, widocznym z profilu.

Gromel spojrział na tego mężczyznę i drgnął. Energicznym krokiem wszedł za bufet i szeroko otworzył drzwi.

Dobry wieczór, panie Lore! — powie dział.

W momencie gdy te słowa spłynęły mu z ust, natychmiast zrozumiał, jakie głupstwo popełnił, zrozumiał to empirycznie nie niejako, wpatrując się w wycelowane w niego lufy dwóch rewolwerów.

— Recco do góry! — zakomenderował Edward Lore.

Komisarz w milczeniu podniósł ręce.

— Niech pan stanie tam, pod ścianą — warknął Lore.

Gromel wykonał i ten rozkaz. Lufy obu rewolwerów wędrowały za nim, gdy z odwróconą w ich stronę głową, robił parę kroków w kierunku ściany. Oparł się o nią plecami, patrząc w stronę Edwarda Lore, podczas gdy oberżysta starannie zamykał drzwi. — Zastrzeła mnie, czy nie — myślał beznamiętnie komisarz — chyba raczej nie tutaj, to byłoby nieostrożne. Ależ głupio wpadłem!

Nagle Edward Lore przemówił spokojnym, głębokim głosem.

— (Panie komisarzu! Wiem, że chociaż jest pan naszym wrogiem, jest pan również człowiekiem uczciwym, który potrafi dotrzymać słowa. Moglibyśmy zastrzelić pana tu na miejscu, lecz nie jest to dla nas w tej chwili wygodne — wyjeżdżam za granicę i nie chciałbym zostawiać za sobą pańskiego trupa. Proponuję więc następujący układ: jeśli da nam pan słowo honoru, że prosto stąd pójdzie pan na dworzec i wyjedzie do stolicy pociągiem pośpiesznym o godzinie 20.00 nie rozmawiając po drodze z nikim, wypuścimy pana stąd bez szwanku.

Komisarz namyślał się chwilę. Oczy obu mężczyzn śledziły go z napięciem, lufy rewolwerowe patrzyły weń również.

Panie Lore — odpowiedział wreszcie. Chociaż wiem, że jest pan złoczyńcą i skończy pan na szubienicy, chociaż dwukrotnie usiłował pan mnie zabić, gotów jestem zawrzeć z panem tę umowę, ale pod jednym warunkiem. Dodam jeszcze, że nie robię tego, aby ratować życie — robię to dla dobra Republiki.

Jakiż to warunek?

— Przed moim wyjściem stąd, odpowie mi pan szczerze na trzy pytania.

Oberżysta i Lore spojrzeli na siebie.

— Wszystko zależy od tego, jakie będą pańskie pytania.

— Sądzę, że zupełnie dla pana niezdolne, jestem nawet tego pewien.

— A więc proszę, niech pan pyta.

Edward Lore rozsiadł się wygodnie na ławie, nie spuszczał z komisarza lufy rewolweru. Oberżysta stał nadal, śledząc każdy ruch Gromela.

W pół godziny potem komisarz Gromel wyszedł z kawiarni na ulicę. Wychodząc miał ochotę odwiedzić jeszcze na chwilę grającą szafę, żeby po raz ostatni posłuchać owego prześlizgniętego, starego walca, ale rozmyślił się: to byłoby niepoważne. Ciemnymi, romantycznymi uliczkami szedł w stronę dworca; nagle przypomniał sobie Henriette Iberri i serce ścisnęło mu się lekko: pomyśleć, że chodziła ona tymi samymi ulicami w dawnych czasach, w czasach młodości. — Nie znał jej wtedy, przypomniał sobie komisarz, starając się odpędzić od siebie natrętą myśl, że Henrietta znajduje się obecnie w więzieniu — i to dzięki niemu.

(Po przyjeździe na dworzec komisarz stwierdził, że do odjazdu ekspresu jest jeszcze godzina czasu. Godzinę tę spędził w bufecie stacyjnym popijając piwo i nie myśląc o niczym. Punktualnie o godzinie 20.00 długi wąż wagonów wtoczył się na stację.

XVIII

Po przyjeździe do stolicy komisarz Gromel dokonał paru czynności, które obmyślił sobie jeszcze siedząc w pociągu. (Przed wszystkim odbył dłuższą konferencję z pułkownikiem Nordem, po czym złożył wizytę radcy Pikronowi w jego mieszkaniu przy ulicy Balkonowej. Dom ten został już uwolniony spod opieki policji, jedynie mieszkanie profesora Galarda opieczetowano; w dyżurce Luizy Lore mieszkała teraz imna dozorczyńni. Komisarz, wychodząc od radcy Pikrona, wstąpił tam nawet, aby dowiedzieć się o losy kota — świadka zbrodni. Kot miał się dobrze — nowa dozorczyńni przejęła go wraz z całym urządzeniem mieszkania.

(Po spełnieniu tych wszystkich czynności ci komisarz Gromel zgłosił się na audyencję do Ministra Administracji i Sprawiedliwości. Był słoneczny, krystaliczny, zimnowy niemal ranek, gdy poprzedzany przez sekretarza Ministra wszedł do jasnego, surowego gabinetu ministra i, przywitawszy się z Ekscelencją, zasiadł na przeciw niego po drugiej stronie wielkiego, pustego niemal biurka. Sekretarz bezszelestnie oddalił się.

Minister wyglądał jeszcze mizerniej, niż wtedy, na owej konferencji, kiedy to komisarz Gromel widział go po raz pierwszy. Bródka jego wydawała się bardziej słwa, czoło głębiej poryte zmarszczkami, wyraz twarzy znużony i smutny. Mimo to aksamiitny jego głos, głos wielkiego niegdyś mówcy, brzmiał pokrzepiająco i zachęcająco, gdy zapytał komisarza, czemu zawdzięczać może jego dzisiejszą wizytę.

— Ekscelencjo — głos komisarza był poważny i opanowany — mam do zkomunikowania bardzo ważne fakty, dotyczące sprawy profesora Galarda. Rzeczą niezbędną jednak jest, abym mógł przedstawić Ekscelencji całokształt tych wydarzeń. Potrzeba mi na to około pół godziny czasu.

c. d. n.

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia społecznego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO”

Ze względu na historyczny charakter za swój obowiązek dorzucić jeszcze kilka uwag do wyjaśnienia p. Kętrzyńskiego, drukowanych w nrze 5 (114) „Dziś i Jutro” p. t. „Na marginesie wspomnień własnych i cudzych”, trzymając się punktów przez niego ustalonych.

1. Czyja inicjatywa?

P. Kętrzyński: „Gwoli ścisłości historycznej muszę jednak stwierdzić, że według moich informacji inicjatywa tych prac nie wyszła bezpośrednio od „Niedzieli”, lecz od bawiącej wówczas w Polsce znanej pisarki i działaczki katolickiej p. Zofii Kossak-Szatkowskiej (Szczuckiej)”.
Ja: Nie wymieniam żadnych nazwisk pisałem: „Inicjatywa zaś tego zebraństwa wyszła z częstochowskiej „Niedzieli”. Uzupełniam wobec tego szczegółem, że wówczas do grona redakcyjnego „Niedzieli” należała także p. Zofia Kossak-Szczucka.”

2. Jak to było z formalnościami?

P. Kętrzyński: „Muszę tu przypomnieć Ks. Redaktorowi, że nie czekając na listowną odpowiedź p. Dobraczyńskiego przyjechał sam w czasie organizowania zjazdu do Warszawy, i sam, osobiście odradzał mi dalsze kontynuowanie prac.”
Ja: Owszem pamiętam. Byłem jednak w Warszawie już po zorganizowaniu zjazdu, dokładnie po uprzednim postanowieniu, że zjazdu nie zwołam dla braku formalności. A pojechałem po to, żeby swój krok wytumaczyć.

P. Kętrzyński: „W obliczu wzrastających trudności wewnętrznych w Komitecie organizacyjnym — p. Dobraczyński przekazał swe obowiązki ks. Kaczyńskiemu w przekonaniu że gest ten ułatwi sytuację wewnętrzną

i doprowadzi wreszcie do sfinalizowania pertraktacji.”

Ja: Ponieważ Komitet Organizacyjny po grudniowym zebraniu w Krakowie więcej się nie zebrał, a sprawa sfinalizowania zjazdu leżała praktycznie w dwóch rękach, p. Dobraczyńskiego i moich, nie wiem, na jakiej zasadzie p. Dobraczyński przekazał swe obowiązki ks. Kaczyńskiemu.

3. Opory wewnętrzne.

P. Kętrzyński: „Rozbieżności wewnętrzne „powstały praktycznie dopiero wówczas, gdy pierwotny skład, wybrany w Częstochowie został powiększony o dalsze cztery osoby.”

Ja: Według informacji jakie mi wówczas dawał przewodniczący Komitetu, powiększenie składu Komitetu miało właśnie na celu usunięcie trudności. Zresztą sam proponując na zebraniu Komitetu zorganizowanie zjazdu w Poznaniu, uczyniłem to przede wszystkim dlatego, żeby przez doprowadzenie zjazdu do skutku skończyć z trudnościami.

P. Kętrzyński przytacza dwa przykłady dla poparcia swojej tezy, „że prace organizacyjne zostały zahamowane przede wszystkim rozbieżnościami poglądów”. Jedną z zasadniczych różnic było — według p. Kętrzyńskiego — to, że „do ostatniej chwili nie uzgodniono ostatecznie tej listy” (mowa o projektowanej liście zaproszonych na zjazd).

Ja: Lista ta została uzgodniona na ostatnim grudniowym zebraniu Komitetu Organizacyjnego w Krakowie i znajduje się u mnie. Według niej też zostały przygotowane zaproszenia i zaadresowane koperty.

Podtrzymuję więc nadal, że pracę Komitetu Organizacyjnego przerwał brak wymaganych prawem formalności do reaktywizacji „Zjednocze-

nia Polskich Pisarzy Katolickich”. Pierwszy powojenny zjazd organizacyjny tego Zjednoczenia był bowiem zorganizowany. Z tekstu zaproszenia i programu zjazdu, jaki załączyłem do poprzedniego swojego listu, wynika, że organizacja zjazdu była w szczególności wykończona. Nie był on jednak zwołany. Nie był zaś zwołany jedynie i wyłącznie dlatego, że nie zostały dopełnione wymagane prawem formalności związane z reaktywizacją „Zjednoczenia Polskich Pisarzy Katolickich”. To była jedyna pobudka którą się kierowałem nie wysyłając zaproszeń na zjazd.

Odpowiedzialność.

P. Kętrzyński w rozdziale pod wyższym tytułem stawia mi cztery pytania. Trzy z nich zostały myślnie skierowane pod moim adresem Poruszają one bowiem sprawy, które z reguły należą do przewodniczącego Komitetu, którego nazwisko — jak wynika ze „Wspomnień sprzed 3 lat” — znane jest p. Kętrzyńskiemu. Czwarte zaś pytanie jest klasycznym pytaniem retorycznym.

Poznań, dnia 5 lutego 1948 r.
Łączę wyrazy szacunku

ks. Mieliński

DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO”

Za przykładem zagranicy, tygodnik „Odrodzenie” i „Przekrój” ogłosiły subskrypcje na kluby książki. Moim zdaniem bardzo na czasie byłoby założenie przez tygodnik „Dziś i Jutro”: Klubu Powszechnego Książki, czy o podobnej nazwie.

Motywy, poza tym, że katolicy nie powinni pozostawać w tyle byłyby następujące:

1) Kryształują się współcześnie zasadnicze ideologie: Klub Odrodzenia w dobrze książkę wyraża taką ideologię wykazuje — walkę o materialne wyzwolenie mas ludowych. Pora, aby licznym zastępem katolików uprzyściplnić zapoznanie się z najcenniejszą literaturą katolicką wszystkich narodów, a również własną.

2) Jak pisze Jan Brzechwa w „Nowinach Literackich” Nr 2 (43) O solidarności zawodowej, z powodu obniżenia honorariów autorskich z 15 proc. do 8 proc., literaci przeżywają kryzys materialny, który musi odbić się na ich twórczości. Nie można

dopuszczać, by pisarze katolicy znaleźli się w sytuacji bodaj gorszej od innych, przeciwnie, jako słudzy Prawdy powinni się znaleźć w sytuacji lepszej od innych.

3) Dokoła tygodnika „Dziś i Jutro” wytworzyła się duża grupa sympatyków. Obowiązkiem czynnego katolika jest przeznaczyć Zł. 150.— lub Zł. 300.— miesięcznie dla poparcia literatury katolickiej.

4) Żadne z pism katolickich nie wystąpiło jeszcze z odnośną inicjatywą: tygodnik „Dziś i Jutro”, jako pozytywnie i czynnie ustosunkowujący się do współczesnego życia społecznego jest predestynowany na podjęcie omawianej inicjatywy.

Proponuję dwa abonamenty: I za Zł. 150 miesięcznie i II za Zł. 300 miesięcznie w zależności od 6 lub 12 ksiątek rocznie. Ewentualnie można by powołać do życia dwa kluby: literacki i naukowy.

Szczegóły nie wątpliwie opracowane zostaną przez kompetentnych ludzi. Łączę wyrazy szacunku i poważania

Dzisiaj Wędrychowski

Do redakcji „Dziś i Jutro”.

Niniejszym chcę wyrazić oburzenie na list p. Z. J. w sprawie artykułu „Musica Sacra”, zamieszczonym, jak pisze p. Z. J. w „Tygodniku Warszawskim”, — artykuł ten nie jest mi znany prócz tych dwu cytowanych zdań, przyznaje, że jestem profanem w sprawie muzyki i tajemnic wiary i nie wchodząc w meritum sprawy, stwierdzam, że tego rodzaju krytyka jest niżej poziomu i niedopuszczalna nawet w dziale „Czytelnik uważa że...” — Szkoda, że p. Z. J. nie przejął się „świętością i uniwersalizmem” muzyki gregoriańskiej i nie technicznie „skrupuła i radosnym życiem wiecznym”. List jego nie tyle broni muzyki gregoriańskiej, co daje świadectwo wielkiej nie chcąc wziąć mocniejszego wyrazu pospolitości autora; również słowa łacińskie i przysłowia rosyjskie nie wskazują na audycje, a temperament, który odpowiednio dla siebie ujście znajdzie na boisku w Sosnowcu. — Wypowiedź p. W. Żegockiego mogłaby posłużyć p. Z. J. jako wzór polemiki — niestety może podać rękę p. Zbyszewskiemu z emigracyjnej „Kultury”, gdyż cechuje ich jednakowa kultura.

Aniela Michałska

W zakończeniu pięknej swojej „Kantaty” wspomniał Pan o sztuce. Może właśnie sztuka — i szerzej: piękno — doprowadziły mnie do chrześcijaństwa. Różne są drogi ku prawdzie. Jeśli ośmielam się wspominać o mojej małej ścieżce, to dlatego, że wśród spraw wielkich i ważnych zna się przecie najlepiej ten skromny odcinek który się samemu przeszło. Piękno kasztanowego liścia, prześwieconego słońcem o zachodzie — piękno obrazu, które staje się czystym i szlachetnym przeżyciem, nim się je zrozumie poprzez zawile spekulacje formalne — piękno czyjegoś życia, rzetelnego i konsekwentnego wśród cierpień i poszukiwań — oto zjawiska, które najpierwsze dały mi świadomość tajemnicy. Z pewnością, wiedza nasza przemierzy jeszcze olbrzymie, niezbadane dotychczas przestrzenie; niechaj jednak objaśni — na przykład — najwznioślejsze uczucie religijne takimi czy innymi zespołami zjawisk materialnych — ważne będzie nie to, że te zjawiska wyglądają tak czy inaczej; ważne będzie że powodują one — właśnie uczucie religijne. O tym liściu kasztana wiemy przecie bardzo wiele; biologia mówi nam o jego budowie, fizyko-chemia posuwa nas dalej, objaśniając strukturę jego materii, fizjologia i psychologia tłumaczą, dlaczego widzimy go w pewien sposób i to widzenie w pewien sposób odczuwamy; wszystko to prawda; — a liść zieleni się, rośnie, świeci jak witraż o zachodzie — jest piękny. Znalazłem gdzieś taki cytat z Edgara Allana Poe: „Kiedy poezja lub muzyka wyściska nam żyć z oczu — płacemy nie z nadmiaru przyjemności, ale wskutek smutku, z jakim odczuwamy niemożność uchwycenia na tej

Mikołaj Kołatek

List Katechumena do Jerzego Zawieyskiego

ziemi boskich radości...” Bo w pięknie istnieje jakaś niezłomna logika, która wyprowadza nas poza nie, ku źródłu, z którego piękno wypływa. Trzeba się tylko uważnie wsłuchać. poza pięknem bije, szumi tajemnicze jego źródło. Wszystko co tu piszę do Pana, wygląda na dosyć banalną literaturę; ale cóż — przeżyciami najważniejsze są zwykle przeżyciami najprostszymi, najbardziej — właśnie — banalnymi.

Potem (a może było to równocześnie? porządkuję chronologicznie dla większej jasności) wobec poczucia tajemnicy zrodziło się poczucie pokory. Jestem najmocniej przekonany o olbrzymich, nieznanach dotychczas możliwościach rozumu ludzkiego. Jestem pewien, że grzechem byłoby nie posługiwanie się nim tam, kiedy sięgnąć umie. Filozofia tomistyczna interesowała mnie początkowo, jako wspaniała konstrukcja racjonalna; samo pojęcie „drogi” — *via* — prowadzącej ku tajemnicy (tam gdzie św. Tomasz mówi o istnieniu Boga) wydawało mi się o tyle bardziej racjonalne od pojmowania myśli jako niezawodnego narzędzia, którym tajemnicę można bez reszty wyczerpać.

Wracam do problemu pokory. Otóż czy nie uderza Pana, że tak dużo mówi się dziś o „uwarunkowaniu” społecznym jednostki, a tak mało o jej „uwarunkowaniu” własnym życiem. Pragnąłbym wyrazić to jasnie. Jest faktem chyba niewątpli-

wym, że każde nasze przeżycie każda nasza decyzja posuwa w pewnym kierunku kształtowanie się naszej osobowości. Tak jak wydzieliła każdego, najdrobniejszego gruczołu przesyca cały organizm, tak najmniejszy nasz czyn zabarwia, „warunkuje” całe nasze dalsze istnienie, całą naszą postawę rozumową, wolicjonalną uczuciową. Z tego punktu widzenia marzenie takiego Kartezjusza, by zburzyć całą otrzymaną i nieświadomie nabytą strukturę umysłową i przekontrolować ją od podstaw, zbudować ją na nowo z cegiełek, przez siebie samego wypalonych, wydaje mi się marzeniem bohaterskim — ale marzeniem naiwnym. Bo sam wybór materiału na te cegiełki zależy w olbrzymiej mierze od tego, jaki zespół przeżyć i decyzji „uwarunkował” wybierającego. Człowiek bowiem dąży do osiągnięcia harmonii między swoją myślą i swoją działalnością. Nie istnieje chwila, w której głos ma tylko „czysta” myśl. Poszukuje ona zawsze pewnych uzasadnień i wytłumaczeń dla przeżyć minionych — i wskazówek dla przeżyć, które nadejdą. Myśl i przeżycie splatają się więc nierozdzielnie.

Wydać mi się, że stwierdzenie tych prostych faktów wiąże się ściśle ze sprawą — autorytetu. Wiem że jest to słowo dla racjonalisty antypatyczne. Ale — czy zna Pan człowieka, który by niczego nie przyjął od nikogo „na wiarę”? Powracam

tu raz jeszcze do problemu pokory. Można by rzecz całą ująć tak: własnymi przeżyciami nie jestem w stanie zbadać całej rozległości ludzkich spraw, własną myślą tych spraw nie ogarnę. Cóż dopiero, kiedy myśl i przeżycia staną nad brzegiem tajemnicy? Zaczynam więc poszukiwać ludzi — zespołu ludzi — którzy by życiem własnym najpiękniej świadczyli swoimi prawdom. Albo inaczej: wyznawców takiej prawdy, która pozwoliła najpiękniej, najpełniej życie kształtować. Takimi ludźmi są święci. Takim zespołem jest Kościół. Oczywiście, jasna mądrość jego podstawowych twierdzeń, twierdzeń chrystusowych, przekazywana i wzbogacana na drodze czcigodnej tradycji, na drodze łańcucha doświadczeń najlepszych jego członków — każe uwierzyć i w te prawdy, które wydają się nam dziwne, nie do pojęcia. Bo wyczuwa się spójność wszystkich twierdzeń kościoła, nierozdzielność ich jednorodność. Dlatego to — gdy wątpię — ja mam mieć rację, a nie ci, którzy najpiękniej prawdziwie swojej świadczyć umieli? Kiedy mowa o wyznaniu tych lub

Wierzą w nie i najbardziej zakamieniali przeciwnicy — „kiedy trwoga”... Ba — odpowiedzą, dlaczegoż myślenie „w afekcie” ma być dowodem przeciw myśleniu „racjonalnemu”? Ale chyba sami na sobie niejednokrotnie sprawdzili, że dopiero w nieskończonym pojmuję się wiele rzeczy — w sobie, w innych, w świecie...

(Dokończenie ze str. 3-cj)

Funkcją podziału Europy — jest podział Niemiec. Nie należy sądzić odwrotnie. Ale w dalszym biegu rzeczy — z kolei podział Niemiec a więc odmienna polityka w stosunku do jednego z najbardziej żywotnych problemów europejskich, będzie determinować i powodować dalsze różnice na terenie ogólnoeuropejskim nawet ogólnoświatowym. Podział Niemiec inicjowany jest przez Anglosasów przy wyraźnym, choć malejącym oporze Francuzów, którzy czują fatalność polityki odbudowy Niemiec przed odbudową ofiar niemieckich najazdów, ale nie są w stanie przeciwstawić się USA. Utworzona została „Bizonia”, w ciągu lutego ma powstać „Trizonia” — i zachodniemieckie państwo gotowe. Nawet przy sprzeciwie samych Niemców, którzy w swej narodowej masie nie wydadzą się być z tego zadowolonymi. Państwo rządzone zamaskowanym w formie Rady Ekonomicznej rządem niemieckim, zorientowanym przede wszystkim na restytuowanie starych granic Rzeszy.

Dokonywujący się podział Europy jest wyrazem prawdy oczywistej, że między czołowymi mocarstwami świata nie ma dziś wspólnej linii politycznej. Nic dziwnego wobec tego, że i między mniejszymi tego doczesnego świata, trudno jest zorganizować rozsądny modus vivendi, że ONZ nie jest w stanie doprowadzić ani do uspokojenia w Palestynie, ani w Indiach. Ze w Chinach i w Grecji krew leje się nadal.

Wydaje się, że dopiero Europa zjednoczona, ale zjednoczona z wewnętrznej potrzeby — że dopiero taka Europa może przynieść rzeczywiste uspokojenie świata, gdyż ona dopiero może dobrać ONZ należytego autorytetu, tak niezbędnego dla egzekwowania decyzji tej piękniej organizacji. **K. Kk.**

innych poglądów, chciałbym postawić takie nawiasowe pytanie: czy nie sądzi Pan, że barykada przebiega dziś nie zawsze po linii granicznej: katolicyzm — marksizm? Myślę często, że również jaskrawy przedział zarysowuje się niejednokrotnie między tymi, którzy potrafią mieć szacunek dla cudzych przekonań, a tymi, którzy własne przekonania pragną bezwzględnie narzucić. Siła doktryny przestaje działać tam, gdzie zaczyna się doktrynerstwo. I tutaj także chrześcijaństwo daje nam najpiękniejszą naukę: „Abyście byli synami Ojca waszego, który jest w niebieszech i który czyni, że słońce Jego wschodzi na dobrych i złych... Albowiem jeśli miłujecie tych, co was miłują, cóż za zapłatę mieć będziecie? Ażaj i celnicy tego nie czynią? A jeśliście pozdrawiali tylko braci waszanie, cóż więcej czynicie? Ażaj i poganie tego nie czynią?”

Zamykam nawias i wracam do problemu prawdy. W swoim liście dotknął Pan sprawy najważniejszej: „pokój nie zależy od protestów ani deklaracji, pokój zależy od naszej woli i jej kierunku...” Człowiek musi żyć podług danych racji, żeby móc ich prawdę zgłębić. A jeśli nie potrafi, nie zawsze winne są racje.

Jeśli pozwalam sobie na ten list i na mówienie o własnym, wąskim horyzoncie, to dlatego, że żarliwy apel Pana do katechumenów uświadomił mi, jak mało porusza się publicznie problemy, które wszakże tak wielu ludzi obchodzą. A chyba najważniejsze, co laik może dać na tym odcinku, to doświadczenie osobiste. Tak więc — napisałem, jaki był dla mnie punkt wyjścia: piękno — ukryta za nim tajemnica — i pokora. A punkt dojścia? — Teraz jest droga: *via*. Droga całego życia.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyński.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81 m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr 1-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30

Druk. Skolimowska 8.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych

B-45341